

# RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

II. ROCZNIK WARSZAWA, SIERPIEŃ 1928.

J. BLOCHMERT



PIUS X

(W CZTERNASTĄ ROCZNICĘ ZGONU).

*Wielki pisarz francuski René Bazin wyraził życzenie, aby ostatnia jego książka „Pius X” została przełożona na język polski. Zanim to nastąpi podajemy tu dla zachęty wyjątek z jego dzieła, a mianowicie ostatni rozdział p. t. „Ostatnie dni Piusa X”.*



RENÉ BAZIN.

Tłom. JADWIGA MORAWSKA.

# OSTATNIE DNI PIUSA X.

(W CZTERNASTĄ ROCZNICĘ ZGONU).

Pius X-ty rządził Kościołem od 4-go sierpnia 1903 r. do 20-go sierpnia 1914 r.

Drugiego czerwca tegoż roku był zaczął osiemdziesiąty rok swego życia. Zbliżała się wojna, od której miał umrzeć. Przewidział on to wstrząśnienie świata; niejednokrotnie wyrażał się do Kardynała Merry del Val, który mu rano przyniósł depesze dyplomatyczne i inne dokumenty, i przedstawił mu jakąś ważną sprawę: „I cóż to wszystko, wobec tego co się zbliża? Już zbliża się wielka wojna. Rok 1914 nie minie, zanim ona wybuchnie“. Pierwszy raz słowa te wypowiedział w chwili, gdy Włosi zrobili desant na wybrzeże Trypolitańskie (1911). Kilka miesięcy przed wybuchem wojny Papież, przechadzając się po cyrodrach watykańskich z Monsigniolem Bressau, w toku rozmowy powiedział: „Po mojej śmierci dopiero naprawdę ujrzycie **religio depopulata**“. Ostatnie tego rodzaju ostrzeżenie wyszło z ust jego w maju pamiętnego roku w rozmowie z ministrem Brazylii, który żegnał się z Papieżem. „Jakież Pan szczęśliwy — rzekł Papież — nie będzie Pan z bliska patrzył na wielką wojnę“. Dyplomata, uderzony tem powiedzeniem, którego nie usprawiedliwiały żadne jeszcze oznaki, powtórzył je w listach do kilku przyjaciół.

W niespełna trzy miesiące potem, pięć narodów mobilizowało swoje armje a Niemcy wkraczały na terytorjum Belgji.

Opowiadają, iż dwa razy proszony przez ambasadora austriackiego, by udzielił błogosławieństwa sprzymierzonym armjom Austrii i Niemiec, Pius X odpowiedział: „Błogosławię Pokój“. Odpowiedź w jego stylu, nie mamy jednak dowodów o jej autentyczności. Przyszłość zapewne wiele rzeczy objawi.

Papież o wielkiem sercu nie mógł znieść cierpienia i śmierci tylu swych synów. Gdy wybuchła ta wojna, którą przewidywał, znalazła go już osłabionym. Podobny cios zadała wielu innym ojcom, matkom, nawet z dala od pola walki; jednak nasamprzód uderzyła w niego. Musiał on przyjmować wielu młodych cudzoziemców, uczniów rzymskich seminarjów, których obowiązek wojskowy odwoływał do kraju, a po tych audjencjach słyszano, jak mówił: „Dałbym życie, byleby odwrócić tę straszliwą klęskę“.

Ostatni jego akt pontyfikalny był „zakłęciem do katolików całego świata“. Nosi on datę drugiego sierpnia 1914 r. Jest to jeden krzyk bólu, ten list składający się z osmnastu linii, w którym Pius X oświadcza, że „jest przeniknięty troską o zbawienie i życie tylu jednostek i narodów“, a zarazem nawołuje księży „aby zarządzili we wszystkich parafjach modły publiczne“, wiernych

zaś, by wnieśli ducha ku Temu, od którego jedynie pomoc przyjąć może, ku Chrystusowi, Księżciu pokoju i wszechmocnemu orędownikowi u Boga“.

Przeszło parę dni. Po Rzymie i po świecie rozeszła się wieść, że Papież jest chory. Rzeczywiście Papież miał bronchit. Choroba wydawała się lekką, ale wkrótce spostrzeżono się, że serce skąbnie, że życiu zagraża niebezpieczeństwo.

W połowie miesiąca stan pogorszył się. „Niech się wola Boża stanie, rzekł Pius X, zdaje mi się, że wszystko skończone“.

18 sierpnia rano prosił o wiatyk.. Wkrótce potem zamilkł. Malował się na jego obliczu wielki pokój i ten wyraz anielski, który tyłu był wzruszył wówczas, gdy było łatwiej, zda się, być „samym majestatem“. Owa piękność duszy była tak niezwykła, że lekarze wspomnieli o niej w ostatnim biuletynie. Rozumiał wszystko, ale już nie mówił. Czasami powoli robił znak krzyża, który jest znakiem szpady i znakiem wiary.

Kilku drogich przyjaciół dopuszczono do jego łóżka, wielkich i małych. Tych, co przybyli pirwsi, zdołał pobłogosławić; ścisnął ręce tych, co przyszli później. Długo, bardzo długo, trzymał ręce swego Sekretarza Stanu, który mu tak wiernie i dobrze służył.

19 sierpnia wielki dzwon Świętego Piotra, dając tem samem sygnał wszystkim innym dzwonom Rzymu, zadzwonił: pro Pontifice Agonizante. 20 sierpnia, zanim dzień zaświtał, Pius X oddał ducha Bogu.

Żałoba okryła świat. Nie było chrześcijanina, nie było człowieka o sercu prawem, któryby nie odczuł żalu, że wielka ta dusza rozstała się ze światem. W numerach z 20 i 21-go sierpnia 1914 r., *Times* wydrukował dwa długie artykuły o Piusie X, pierwszy napewno wyszedł z pod pióra katolika, drugi protestanta. Oba są pięknym hołdem: ale można się zapytać, czy anglik i protestant, streszczając tu dzieło Papieża i oceniając z zewnątrz księcia, syna biedaków, nie przeszedł jeszcze pod względem siusżności i przewidywania sądu, jaki wierny o dzień naprzód był wydał. Podajemy kilka paragrafów z obu tych szkiców:

Artykuł *Timesa* 20-go sierpnia 1914 r. — Jest wielce prawdopodobnem, że żaden włoski kardynał nie był mniej znany Kurji, niż kardynał Wenecki. Watykan na pierwszy rzut oka widział w nim tylko pracownika, świętego biskupa, znanego z rzadkiej skromności i głębokiej prostoty życia; i pytano się z ciekawością — i niepokojem — pod jaki wpływ się dostanie... Ale zrozumiano wkrótce, że Pius X postanowił być u siebie panem. Niebawem zmodyfikował pod wielu względami



etykiety swego dworu, poczynił też pewne małe zmiany, dążąc do większej oszczędności. Nie omieszkiwał pytań o zdanie swych kardynałów i szambelanów; wdzięczny był za ich rady: ale decyzje jego zawsze miały charakter jego indywidualności, a pod jego uprzejmością i łagodnością poznawało się zawsze niewzruszoną stanowczość pana...

„Bardzo wiele mówiono od samego początku jego pontyfikatu o zmianie, jaka zaszła w duchu papieżstwa. W przeszłości, mawiano, Kościół winien mieć Papieża pobożnego, nie polityka. Słowa te **pobożny papież**, w ten sposób rozumiane, wzbudzały u nowego Papieża żywe oburzenie. „Piękna byłaby to rzecz, mawiał gdy był jeszcze patriarchą weneckim, gdyby Papież nie był pobożny!... Ci, co gadają w ten sposób, wyobrażają sobie, że papież powinien żyć usunięty w cieniu swej bazyliki, bez żadnego wpływu na życie społeczne, tylko zajęty rozdawaniem błogosławieństw! Nie, nie takiego papieża nam potrzeba. Katolicyzm ma obowiązek wywierania wpływu na społeczeństwo, a szczególnie w naszych czasach, nie ma prawa usurwać się na ostatni plan“.

„Na Konsystorzu 9 listopada 1903 r., myśl tę precyzuje w swym przemówieniu: „Nie możemy ukryć faktu, że niejednego zgorszymy, oświadczając, że musimy, bo to do tego nas zmusza konieczność, zajmować się polityką. Ale człowiek oceniający rzeczy sprawiedliwie zrozumie, że Papież, któremu sam Bóg dał najwyższą władzę, niema prawa oddalać polityki od dziedziny wiary i obyczajów“.

„Nawet Leon XIII nigdy tak wyraźnie nie określił obowiązku politycznego Papieża. Odtąd rozumiano, że jego następca nie ścierpi żadnych zakusów na najwyższe prawa Stolicy Apostolskiej“.

Wielki angielski dziennik w dalszym ciągu streszcza główne czyny Piusa X i wykazuje, że był wierny sobie i swemu zadaniu.

Artykuł *Times'a* z dnia 21-go sierpnia 1914 r. — „Ci wszyscy, którzy pragną uczcić religię i osobistą świętość, łączą się z rzymsko-katolickim Kościołem, aby oplakiwać Papieża, którego dopiero utracił.“

„Polityka Piusa X podniosła wiele zarzutów, — a wszystkie te zarzuty wyszły nietylko z poza łona Kościoła, którym rządził, — ale nikt nigdy nie mógł wątpić o bezwzględnej szczerości jego przekonań, lub nie podziwiać jego cnót kapłańskich.“

„Wyszedł z ludu, więc kochał go i rozumiał jak każdy dobry pasterz na parafii winien go kochać. I oto sekret, dzięki któremu, posiadał w Wenecji tak ogromną popularność i dzięki któremu zyskiwał sobie odrazu miłość najbiedniejszych. Ale za tą popularnością on nie gonił. Gdy prawil kazanie swym owieczkom nie obawiał się podkreślać swego autorytetu i żądać posłuszeństwa“.

„Kościół katolicki oplakuje w nim więcej, niż świę-

tego kapłana, niż wielkiego biskupa: oplakuje też wielkiego Papieża. Pius X był świadkiem bolesnych wydarzeń, prawdziwych klęsk w życiu Kościoła: widział on rozdział Kościoła i Państwa we Francji i w Portugalji; był świadkiem spoganienia narodowego i społecznego, którego ten rozdział był symbolem.

„Ci, których sąd nie jest zaślepiony przez uprzedzenia, nie mogą potępić Ojca Świętego, że odrzucił wszelki kompromis z polityką, która stosownie do opinii samych jej instygatorów, dążyła rozmyślnie do znieszczenia wiary, której bronić było jego misją. Powiedziano, że powinien był iść na kompromis, ale są pewne zasady, których Rzym nie może ani na pewien czas odsunąć, ani definitywnie skasować.“

„Pius X zrozumiał, że wszelki układ z nowym systemem, który mu podawano, narażał te zasady na szwank. Z lekkim sercem nie nakazał on duchowieństwu Francji i Portugalji linii postępowania, która w następstwie narażała ich na stratę materialną, utratę parafji, a nawet prawa rządzenia we własnych kościołach. Nie chodziło tu dla Piusa X o przecięcie kwestji interesu ery konwenansu, chodziło o wybór pomiędzy dobrem a złem. Uczynił ten wybór, polegając jedynie na głosie sumienia. I z jednego krańca świata katolickiego, aż po drugi kraniec, jego dzieci duchowe, napelnione były słuszną dumą na widok bohaterkiego posłuszeństwa tych kapłanów, którym ich ojciec rozkazywał ubóstwo.“

„Jednakowoż, jeżeli Kościół przyznaje mu wybitne miejsce w długiej liście swych Rzymskich Książąt, to nie dlatego, że Pius X uczynił w tej okoliczności to, co na jego miejscu każdy Papież byłby uczynił. Ale dzieje się to z powodu jego nieustrudzonej działalności w sprawach wewnętrznych tej rozległej instytucji o organizacji tak dokładnej, działalności, która obiecuje pozostawić ślad jego pontyfikatu na mających przyjść wiekach. Rozległość i głęboki sens reform, które on zainaugurował, zaledwie zostały spostrzeżone poza Kościołem, którym on rządził. A bez przesady powiedzieć można, że Giuseppe Sarto, syn chłopca i krawcowej, z własnej inicjatywy poczynił w dyscyplinie Kościoła katolickiego więcej zmian, niż którykolwiek z jego poprzedników od czasów Soboru Trydenckiego...“

Prosty i wspaniały żywot! Monsignor Bressau tak go streszcza:

Od dnia 16 września 1885 roku aż do jego śmierci, zawsze byłem z nim. I mogę powiedzieć, że był to człowiek obowiązku, pracy, poświęcenia, spełnianych spokojnie, z uprzejmością, bez okazywania najmniejszego zmęczenia i bez przywiązania do swych czynów żadnej ważności, jakgdyby był najskromniejszym z młodych księży... Był zawsze w dobrym humorze, żartował chętnie, nie tracąc wrodzonej godności. Jego serce miłosierne chciało wspomóc każdą biedę, jaką napotykało. Widziałem, że wspomagał z tem większą gorliwością tych,



którzy mu wyrządzili przykrość. Nikt nie wahał się otworzyć mu serca, chociaż każdy, który go widział, rozumiał, że ma do czynienia z istotą wyższą. Nawet zanim został Papieżem, zasługiwał na miano panującego, odznaczającego się uprzejmością i pokorą... Silnym był z poczucia obowiązku i dzięki modlitwie. Potem zaś Bogu dziękował, że mu pozwolił działać bez słabości...“

W testamencie swym ten Książę Świata Katolickiego mówił: „Urodziłem się ubogi, żyłem ubogi, pragnę umrzeć ubogi“. Siostry jego nie przestały zamieszkiwać w skromnym mieszkaniu na placu Rusticucci. Na samym początku jego panowania komisja heraldyczna zapytała Papieża: „Jak będą się zwały siostry Waszej Świątobliwości? Jaki będą nosiły tytuł? Księżniczki? Hrabiny?“ „Nazwijcie je Siostrami Papieża“, odparł Pius X. Nie otrzymały więc ni tytułu, ni żadnej darowizny. Jedynym ich przywilejem było, że co tydzień przyjmowane były przez papieża, a raz lub dwa razy do roku — zasiadały z nim przy wspólnym stole. Umierając, Pius X nie chciał zostawić w niedostatku tych wiernych staruszek, ale pozostawił im tylko tyle, co na życie potrzeba, prosząc swego następcę, aby im co miesiąc wypłacał trzysta franków. Siostrzeńcom swoim zapisywał dziesięć tysięcy franków, pod warunkiem, że jego następca zaprobuję ten zapis, a nadto zapewniał utrzymanie czterystu sierotom, ofiarom trzęsienia ziemi w Reggio i Mesynie z 1908 r. Gdyby nie ten ostatni zapis, który był zapisem miłosiernym, testament Papieża maloby się różnił od testamentu małego kapitalisty.

Anna i Marja pozostały więc w Rzymie. Żyła z niemi siostrzenica ich, Ermenegilda Parolin, jedna z dziesięciorga dzieci, urodzonych z małżeństwa Teresy Sarto i Jana Baptisty Parolin, który był w Riese właścicielem oberży „Alle due Spade“. Młoda, doskonale wychowana, inteligentna, miłej powierzchowności, w innych czasach byłaby otoczona rojem pochlebców i traktowana, jak udzielna księżniczka. A i dziś zapewne niejedna sposobność się nadarzyła, dzięki której świat rzymski stał dla niej otworem. Rzymianie mówili o niej ludową gwarą: „Ona poniesie szansę“. Ale nie: za mąż nie wyszła. Pozostała prosta i ukryta. Gilda Parolin przyjmowała tylko jałmużnę na biednych i na dobre cele Papieża; żyła w cieniu bazyliki św. Piotra i murów Watykanu; pomagała „ciotkom“ w przyjmowaniu niezliczonych wizyt, spowodowanych ich tak bliskim pokrewieństwem z Papieżem; była anielskiej pobożności, pielgrzymowała codziennie po kościołach Rzymu, a rola jej główna a ukryta polegała na rozdawaniu po mieście darów tego rozrzutnika miłosierdzia, jakim był Giuseppe Sarto. Umarła po miesiącu choroby 20-go stycznia 1923 r., a dzienniki wówczas oddały hołd skromnej kobiecie. Oto np. wyjątek z artykułu, który napisał p. Pio Majolani w „Giornale d'Italia. Przypominał on, że na wstępie panowania Papieża, rodzina Sarto odmówiła na-

wet zaszczytu wpisania do włoskiej księgi szlacheckiej, jak proponowała, według dawnego, zwyczaju, heraldyczna Rada papieska. „Krewni Papieża, przyzwyczajeni do tego, by myśleć i sądzić, jak on, od chwili, gdy widzieli w młodym kapłanie i proboszczu, kapłana pańskiego, który ród ich uświęcał, czuli jeszcze żywiej w takiej chwili i zupełnie tak, jak on ciężar nowej odpowiedzialności, jaka na barki jego spadła... Owa purpura, która spływała niegdyś na ramiona krewnych Papieża zaraz po jego elekcji, nie zabłysła nawet we śnie oczom wielebnego Parolin, który dobrze wiedział, że wuj jego uchylił głowę przed „wielką próbą“ pontyfikatu, ale nigdy nie byłby żądał od swych bliskich podobnej ofiary... Tak Gildzie Parolin upłynęła młodość... Bez żadnego zadowolenia próżności tą miłością żyła dwadzieścia lat w Rzymie, w ciasnym kółku najbliższych swego wielkiego wuja, w nieustannej modlitwie, skierowanej do Boga, aby smutki, odpowiedzialności, ciernie pontyfikatu, nie odbiły się na zdrowiu osoby drogiej jej sercu... Kiedyś nakoło cichej a miłej postaci Gildy Parolin zakwitnie legenda, która, jak zawsze bliska będzie prawdy. I”

W 1926 r. z trzech wiernych sióstr Piusa X, które za nim przywędrowały do Rzymu, żyła już tylko panna Marja Sarto, staruszka osiemdziesięcioletnia i strażniczka tylu pamiątek. Zaczyna ta kobieta była spadkobierczynią majątku rodzinnego, to jest domu w Riese. Będąc siostrą Piusa X-go, nie mogła się wiele od niego różnić, przyszło jej więc do głowy wyzbyc się onej małej posiadłości i darować gminie w Riese dom, odtąd święty, gdzie prawie 100 lat temu przyszedł na świat Giuseppe Sarto. Spisano akt; rada miejska w Riese zadecydowała, że troskliwie ochraniać będzie tę relikwię i że założy tam „muzeum Piusa X“. Ci zaś, którzy dziś jeszcze odwiedzają w Rzymie ostatnią z rodziny Sarto, mogą obejrzeć na ścianie jej saloniku odres, podpisany w imieniu całej ludności Riese przez burmistrza Bottio. Adres ten, ułożony przez wnuka siostry Papieża, Giuseppe Parolini'ego, ozdobiony jest ze smakiem. Po stronie lewej widnieje fotografia Margherity Sauson, matki Papieża, z prawej zaś rysunek domu. Napis, — według pięknych tradycji rzymskich — mówi wiele w nielicznych słowach:

„Z wysokich szczytów Papieskiego Tronu—Pius X-ty — świętej i czczonej pamięci — często myśl i serce zwracał — ku błogiemu pokojowi tego skromnego rodzinnego domu, — który tu dzisiaj — Marjo Sarto — siostrą jego ulubioną — żywiąc podobną tkliwą miłość dla kraju lat dziecinnych, — dajesz na wieczne posiadanie gminie Riese, — a Riese, wzruszona i wdzięczna, — bierze z rąk twoich ten cenny dar — przeniknięte słuszną dumą, że się w ten sposób staje troskliwym i przywiązanym strażnikiem — tych pokornych a błogosławionych ścian, — które wszystkie serca zamieniają dziś w świętą kaplicę“.



# B E R D Y C Z Ó W.

Berdyczów leży na Ukrainie, nad rzeką Hnyłopiatą. Cała okolica Berdyczowa przed kilku wiekami była pusta i leśna. Dopiero Świdrygiełło, wielki książę litewski, nadaje bezludną pustkę Kalenikowi Tyszkiewiczowi i w nadaniu głosi pochwałę Tyszkiewiczowi: „Za to ci daję, żeś był u mnie za głowę do rady, za prawicę do wojny“.

Nazwa Berdyczowa pochodzi od niejakiego Berdycza, który miał tu uprzednio w dzikim ustroniu, wśród zarośli i wody niewielki futor.

ny na płótnie i przybity na cyprysowej desce, oddawna w domu Tyszkiewiczów przechowywany. Odtąd miejsce to staje się głośnym, obraz słynie cudami, a klasztor, otoczony wałem, z mostem zwodzonym i beluardami, odpiera nieraz wroga.

Tu walczy Janusz Tyszkiewicz, odpiera Bohdana Chmielnickiego i sam Jarema Wiśniowiecki srodze tu dokazuje. Potem Stefan Czarniecki rozłącza swe hufce wokół klasztoru Berdyczowskiego i odpędza stąd watahy kozackie. Wreszcie Mazepa chwytą pod Berdyczow-



BERDYCZOW.

*Kościół Karmelitów.*

Powstał potem na stoku góry od strony rzeki zamek, otoczony wałem, z mostem zwodzonym, w armaty uzbrojony. Stanowił twierdzę na pograniczu cywilizacji i bronił tamtych stron od Turków, Tatarów, Kozaków.

Szczególną opieką otoczył twierdzę Berdyczowską Janusz Tyszkiewicz. Miał bowiem w niewoli tatarskiej widzenie, że przyszła doń matka i powiedziała: „Synu Januszu, ty twierdzę przez żadne nigdy niedobytą wieki masz wystawić“. Gdy z niewoli powrócił, zapis uczynił, oddając plac, gdzie stał zamek na kościół i klasztor Karmelitów Bosych. W 1634 roku, biskup kijowski, Andrzej Szoldrski, kładzie pierwszy kamień na fundament dolnego kościoła pod nazwą Niepokalanego Poczęcia N. P. Marji. Janusz Tyszkiewicz przynosi do Berdyczowskiego kościoła obraz Najśw. Panny Marji, piastującej na lewej ręce Pana Jezusa, malowa-

wem watażkę Paleja i więzi go w twierdzy nad Hnyłopiatą. Jest odtąd korytarz podziemny, zwany turmą Paleja. Nastają potem czasy konfederacji Barskiej. Wtedy w Berdyczowskiej twierdzy zamyka się Kazimierz Pułaski i wspólnie z ks. Markiem bije tu Moskala. Z twierdzy wychodzi i znów na błoniach Berdyczowskich dzielnie staje. Po kilkunastu latach znowuż przychodzi do Berdyczowa ks. Józef Poniatowski i tu wspólnie z Wielhorskim, Mokronowskim i Szczeniowskim na jakiś czas obozem staje. Wokół twierdzy i klasztoru murem obronnym stają zastępy księcia Józefa. Tu widzimy wtedy kozaków Poniatowskiego, formowanych z pułków Granowskich i Bernadzkich. Karmelici Berdyczowscy opatrują zasobnie załogę ks. Józefa. Wnet przyjeżdża do Berdyczowa król Stanisław August i rozłącza swą pieczę nad klasztorem i twierdzą. W porobiorowych czasach znowuż dobrem echem odzywa



się twierdza czasu zapasów listopadowych w 1831 roku i styczniowych 1863 r. Słynie tedy przez długie lata klasztor Berdyczowski z twierdzą, w blanki i kroksztynny opatrzoną. Powoli dźwiga się nad dolnym kościołem świątynia górna. Jest ukończoną już w 1754 roku i konsekrowaną przez biskupa koadjutora Kajetana Soltyka. Ma wspaniałą elewację frontową, półkolistą wkleśłą, od strony zaś absydy ma ślicznie malowany szczyt frontowy. Po bokach elewacji środkowej widnieją mury karmelickie, łączące środek z dwoma wyniosłymi wieżami o kopułach barokowych. Wszędzie balkony, miśternie kute, dla kazań służące.

Środkowa nawa, na trzy części podzielona, ma mnóstwo ołtarzy. Barokowy ornament, otoczony gipsaturą, stiukami, różycami, kasetonami, zdobi wszystkie ołtarze i fryz szczytowy.

W nawie głównej i zakrystjach cenne malowidła al-fresco, rzeźbione stalle i konfesjonały. Ambona drewniana z łodzią i kotwicami.



BERDYCZÓW.

Ambona



BERDYCZÓW.

Boczny ołtarz.

W skarbcu kościelnym nader rzadkie pamiątki. W ozdobnej trumnie relikwie św. Teodora, przez Papieża Benedykta XIV przysłane. Również chorągwie św. Jerzego i złote korcny dla cudownego obrazu.

Przy kościele istniał zawsze ciekawy wirydarz klasztorny, a przed świątynią widniała brama tryumfalna, na pamiątkę koronacji obrazu wystawiona.

Słynęły dawniej szkoły i konwikt Berdyczowskie, a księgozbiór klasztorny posiadał druki rzadkie i rękopisy. Były tu „pamiętniki Janczara Polaka“, spisane między rokiem 1490 i 1516. Ks. Karmelici mieli swoją drukarnię jeszcze w osiemnastym wieku. Przy drukarni byli rytownicy, w ich liczbie słynny sztycharz, Teodor Rakowiecki. Drukarnia Berdyczowska wydała przeszło 650 druków — ksiąg nabożnych, teologicznych, historycznych, politycznych i szkolnych.

Antoni Urbański.





ZOFJA ZALESKA.

## M A J A K I.

SZKIC POWIEŚCIOWY.

Piotr wracał do kraju, skończywszy swą jednoroczną służbę w pułku.

Po trzech dniach podróży stanął w Moskwie, gdzie musiał zatrzymać się dla rozmowy ze stryjem, który nie porzucił projektu otwarcia mu „błyszczącej kariery“. Przywykłego do spokojnej ociążałości ruchów rosyjskiej ludności, uderzyło odrazu na wstępie do dawnej stolicy dziwne podniecenie tłumów, przesuwających się mimo późnej pory po ulicach, gromadzenie się grup ludzi i wzmocnione posterunki policji.

— Co to u was? strejk czy co? — zagadnął wiozącego go do hotelu brodatego — jak moskiewska moda kazała — pokracznego w szerokim „tułupie“ — woźnicę.

— Nie-e. To — wiecie — wojna pono się szykuje.. z germańcem — przeciągle odparł brodac. — A wy skąd? Zdaleka widać, kiedy nie wiecie?

Piotr zdumiał się. Tam do nich w „Uralski kraj“ doszły wprawdzie wieści o zamordowaniu austriackiego następcy tronu w Serajewie, o grzecznej nocy Austrii, domagającej się upokorzenia Serbji, lecz było to wszystko tak dalekie, że aż nierealne. O tych całych Bałkanach moskal z pod Orenburga, Wiatki, czy innego Woronieża słuchał, jak... polak o Japonji przed wojną rosyjsko-japońską. Gdzieś tam na szerokim świecie istnieje owa „Germanja“, — Bóg z nią: jedna rosyjska gubernia większa od tych tam „zgniłych europejskich państwek“.

Piotr, ulokowawszy się w hotelu, zeszedł do restauracji, gdzie rej wiedli oficerowie, rzucający głośno pogroźki pod adresem Austrii. Z ciekawością przysłuchiwał się rozmowom, gdy nagle z ulicy dobiegł chór zmieszanych głosów, okrzyki i wielki, przeciągły wrzask: ura-a-a! — Publiczność rzuciła się do okien, lecz w tejże chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i roznościel gazet, machając pliką „nadzwyczajnych dodatków“, wrzasnął przeraźliwie: — „Wajna!“ — Piotr zbladł i zerwał się na równe nogi. Zakłębiło mu się w myślach. Porwał gorączkowo gazetę.

Dokoła wszczął się gwar i zamęt, lecz po paru minutach zagłuszyły wszystko potężne dźwięki orkiestry, oficerowie zaintonowali „Boże, caria chrań!“

Piotrowi pociemniały oczy. W pierwszej chwili pamiętał tylko o tem, że dzieje się rzecz niesłychana: nareszcie stają naprzeciw siebie te dwa wielkie światy, które od czasów Grunwaldu właściwie nie mierzyły się z sobą. Rosja, która ukradła i po swojemu wypaczyła polską ideę stworzenia wielkiego słowiańskiego mocarstwa, która na miejsce polskiego planu wielkiej unji „wolnych z wolnymi i równych z równymi“ postanowiła „złanie się rzek słowiańskich w rosyjskim morzu“ — musiała jednak w konsekwencji swej „opiekuńczej misji“ wobec słowian bałkańskich wpaść wreszcie w konflikt z Austrią. Fictor mimowiednie poddał się po paru godzinach pobytu nastrojowi Moskwy, która święcie wierzyła, że jest obroną słowian. Lecz już przy pierwszych dźwiękach państwowego hymnu rosyjskiego, stanął mu w oczach... Staszek, tam w Krakowie, strzeleckie drużyny dla walki z Rosją ćwiczący. Jakże to będzie? Trzy zabory — wojna bratobójcza!

— Za swobodę Serbji! — wrzasnął w tej chwili jakiś głos na sali i poszło w drzazgi wielkie lustro, uderzone rzuconym celnie kieliszkiem.

Piotrowi gorzki uśmiech wykrzywił wargi. Tak z wielką słowami na ustach Moskal potrafi zniszczyć wszystko, przeciwko czemu skieruje się wylew jego „szerokiej natury“.

Dziś — lustro, jutro bibliotekę i muzeum, pojutrze wolność tego samego narodu, za którego powodzenie pije dziś, waląc czerepy kieliszków o podłogę.

Co ta wojna niesie? Jakiem echem rozlegnie się w Europie? Nikt w Rosji nie wiedział jeszcze w owym dniu, że armje niemieckie nie na wschód, lecz na zachód ruszały. Nikt nie spodziewał się, że maleńki kraik na północy zachodniej Europy wytrzymać będzie pierwszy impet uderzenia, że osłoni wolność Francji i pozwoli na zgromadzenie sił Ententy. Wojna! na całym obszarze polskiej ziemi były serca, jak dzwony, rozrywając się między porywem do czynu i chłodną rozważą wyczekiwania. Piotr — oderwany od swoich — widział jedną tylko drogę przed sobą: żołnierza. Surowe pojęcie obowiązku trzymało go w żelaznych ryzach.

„Tak, czy inaczej, a Polska wyjdzie z tej wojny zjednoczona. Głowa do góry, chłopcze. Czy szwab przegra, czy moskal, — my wygramy“ — rzucił mu stryj na powitanie następnego dnia, zjawiając się według umowy z całą swoją punktualnością o oznaczonej godzinie w hotelu.

Piotr wracał do pułku zły, chmurny, jednak przejęty myślą o Staszku.

W kancelarji pułkowej zastał pochylonego nad pliką papierów perucznika Matczenkę, który na jego widok zerwał się żywo i przyjaźnie wyciągnął rękę.

— No, przecież choć jeden do pomocy. A tu prosto urwanie głowy! Pułkownika pochowaliśmy, trzy dni temu...

— Co? Nie żyje! — krzyknął Piotr. — Zdrowy był przecież, gdy wyjeżdżał.

— Nosacizna... Konie szelma kozak na sprzedaż przyprowadził i ot! zarażony był jeden. Żal człowieka. Generałem — powiada wyjdę. Eh! Niewiadomo, ilu z nas za nim w tym roku jeszcze pójdzie. Kapitan Fiedorow po buty pojechał, po broń i kuchnie polowe. Awdokin i Golejew utknęli gdzieś na urlopiach. Siemin w Pitrze siedzi i podobno do innego pułku się przenosi... A tu — lichu wie — co robić pierwszej, tyle pracy.

Piotr zabrał się do roboty, rad, że myśli zabije. Całymi dniami ćwiczył poborowych. Dławiła go wciąż jednak zmora męcząca, nie mógł pozbyć się uczucia, że stoi w zaklętym kręgu.

— Kainowa klatwa nad nami ciąży — powiedział mu doktor Gurewicz przy powitaniu.

Piotr po długiej chwili dopiero rozgadał się, wyrzucając z siebie całą udrękę. A już wiadomo było, że w ogniu wojny stoi Belgja i Francja, że Anglja wypowiedziała wojnę Niemcom, że pożar staje się powszechnym.

„O wojnę powszechną za wolność ludów prosimy Cię, Fanie...“ — mruzczał doktor, czytając depesze z frontu w gazetach. — Rosja prowadzi wojnę o cywilizację świata, uważasz. Każdą jej ci na zachodzie, nie wierząc własnym słowom chyba.

Młodzieniec po każdej rozmowie z doktorem rzucał się z jeszcze większą zaciętością do pracy, jakby chcąc przybliżyć chwilę wymarszu na front, spotkanie oko w oko tej grozy, jaką były polskie szeregi po obu stronach frontu. W pułku nareszcie zapanował ruch. Przyjechał kapitan Fiedorow, klnący na czem świat stoi intendenturę, lecz ożywiony i cieszący się z wojny, jak młodzik. Zjawił się nowy pułkownik, siarczysty służbista. Zaczęły się ostatnie gorączkowe przygotowania.

Pewnego dnia, gdy Piotr siedział w kancelarji, pogrążony



w obliczeniach i wykazach, drzwi otworzyły się z impetem i na progu stanął nieoczekiwanie doktor Gurewicz.

— Wiesz już? — spytał lakonicznie.

— O czym?

— Manifest do Polaków wyszykowali. He! he! Polska wojna — uważasz. „Marzenia ojców... hm... — Doktor wyciągnął z kieszeni gazetę i odczytał manifest wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza.

Piotrowi zamigotało w oczach. — Zaczyna się, doktorze! — krzyknął. — Zobaczycie, oni teraz o nas licytować się będą. Tam w Austrii — ani chybi — podobna odezwa musiała być.

— A „points des reveries!“ — pamiętasz? — odparł zimno doktor. — A jak książę Józef na Moskwę za Napoleonem szedł, pamiętasz? he! he! Ile to my już takich papierków w dzieli.

Piotrowi zaszeleścił w uszach stary, żółtki papier tam — daleko i dawno — rękami dziada rozkładany: „Żołnierze! Druga wojna polska się rozpoczęła...“

— Ho, ho! Cesarski stryj, wódz naczelny, Napoleona udaje — gadał doktor. — Powiadasz: Austrija. A toć pułkom poznańskim pod Gravelotte Prusacy na tę samą nutę grali.

— Winszuję dobrej wieści, panie chorąży — rozległ się we drzwiach głos kapitana Fiedorowa. — Łaska cesarska pada na was, Polaków.

Młodzieniec pochylił głowę nad papierami, zagotowało się w nim od tych słów. Doktor, uprzedzając jego odpowiedź, szybko zagadał o pułkowych plotkach i spodziewanym lada dzień rozkazie wymarszu.

— Za dwa dni ruszamy — odparł kapitan. — Wracam

właśnie od pułkownika. — Idziemy na front polski, pod Brześć.

— A więc już... Groza, wisząca nad Piotrem, zbliżyła się i jakby zarysowała wyraźniej.

Przez dwa tygodnie pułk stał pod Brześciem w bezczynnym oczekiwaniu. Dziesiątki pociągów, naładowanych bronią i amunicją, kuchniami polowymi i wszelkim sprzętem wojennym, odchodziły ciągle w różne strony. Dokoła pociągów sanitarnych gromadzili się żołnierze, rozpytuując rannych o wieści z placu boju, o wrażenia. Straszna klęska korpusu Samsonowa, — mimo ukrywania jej przez władze — stała się wiadomą na całym froncie. Krążyły najfantastyczniejsze wieści o okrucieństwach, popełnianych przez Niemców, o dobijaniu rannych, o straszliwych kulach dum-dum, rozrywających ciała na strzępy. — Piotr przypatrywał się rannym na pozór spokojnie, lecz gdy ujrzał okropnego kalekę bez rąk i nóg, zadrżał z obrzydzenia.

— Za tydzień, dwa, mogę być takim samym — myślał, wychodząc z lazaretu. I jednocześnie posłyszał polską rozmowę dwóch rannych: — „Gdyby to za swoje, lżejby było. A tak...“

Piotr powlókł się ociężale za miasto. Pola stały już we mgle wieczornej. Ciemny majak udręki wewnętrznej, który zrosł się z nim przez te dwa miesiące nieodstępnie, zatopił mu znów pazury w sercu. — Jakże to będzie, jak? Gdybyż choć własne chorągwie szumiały mu nad głową!... Pono w Warszawie zawiązał się Komitet Narodowy, pono są czynione zabiegi o wydzielenie Polaków w osobne pułki. Pono i w Krakowie formują się już polskie legiony. Gdzieś tam, z drugiej strony, idzie ku niemu już Staszek, brat rodzony. „A korony polskiej Paniątka Najświętsza strzeże“ — zadźwięczał mu daleki, cichy głos starego Szymona. „Trza się w sobie skrzepić, panie. Przyjdzie nasz czas“. — Jak to będzie? Jakże my naprzeciw siebie stanjemy? — Piotr ścisnął głowę rękami.

— Nie myśleć o tem, nie myśleć — nakazał sobie surowo. — Oszaleć można.

W pochmurny, słotny ranek ruszono znów dalej na zachód. Zatrzymano ich w osadzie o 15 wiorst od Warszawy. Wieści o podejściu Niemców pod Linę Wisły krążyły wśród oficerów, opowiadających sobie o postanowieniu naczelnego wodza nieoddania Warszawy i wyparcia wroga potężnym uderzeniem z północo-wschodu. Piotr w zajeździe gorączkowo przeglądał polskie gazety.

— Strzelcy zajęli Miechów, weszli do Będzina, maszerują na Kielce — szepnął mu spotkany w drodze kolega Staszka z Krakowa, którego wypowiedzenie wojny zaskoczyło w Kongresówce. Jako austriackiego poddanego, wywozili go Rosjanie wraz z całą partją „jeńców cywilnych“ w głąb Rosji. Chłopak był jednak dobrej myśli. — Ucieknę przy lada okazji — obiecywał sobie. — Przez ukraiński front. A wy nie dręczcie się. My na Moskale, wy — na Niemca. Będzie Polska! — Ledwo zdążył zamienić z Piotrem kilka zdań, gdy pociąg ruszył, lecz ten jego animusz jakby promieniem wlał się w myśl młodzieńca. — „My na Moskale, wy — na Niemca. Będzie Polska!“ — powtarzał sobie uparcie.

Do izby wpadł gwałtownie jeden z oficerów. — Ruszamy! Niemcy podeszli pod Piaseczno, zajęli Skierniewice, idą na Warszawę z trzech stron. — Zerwali się wszyscy.

Po godzinie Piotr ruszył przed swoim oddziałem w ciemną, dżdżystą, jesienną noc. Mostem kolejowym przeszli na warszawską stronę i przez miasto pomiędzy szepczącymi tłumami ludności, gromadzącej się na chodnikach, wyszli na szosę Grójecką. Kolumny żołnierzy wiły się w mroku, jak



BERDYCZÓW.

Plafon af fresco.



ciemny wąż, błyszczący łuskami bagnetów, na których lśniły żółte światła latarni. Piotr rozglądał się po okolicy, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemności. Od strony Pruszkowa dolały głuchy, mocny huk armat. Na ciemnym niebie rozbłyskały daleko kręgi ogniste, jakby kto wielkie elektryczne latarnie zapalał i gasił co chwila. Na lewo na horyzoncie rozlała się pasem krwawym ogromna luna pożaru. W pobliżu zarysowały się w jej blasku ciemne sylwetki, doleciał gwar głosów. To polowy lazaret pracował gorączkowo, wysyłając szeregi samochodów i wozów z rannymi do miasta. Nagle tuż — zdawało się — przed idącą kolumną wybuchnął za drzewami słup ognia, i wnet cała fala ognistych języków wzniosła się ku niebu, oblewając szare chmury krwawym blaskiem. Żołnierze zaszeptali między sobą. W pułku służyło dużo Polaków — rezerwistów, zgodnie z metodą Rosji przydzielanych do formacji, stacjonujących w głębi Rosji, a teraz rzuconych na obronę Królestwa. I tuż obok Piotra rozległ się przyciszony głos. — Walenty, nie miarkujecie, gdzie to się pali?

— Tak se kalkuluje... Na prawo je Pruszków, na lewo.. Rety! Toć nie co insze, ino nasze Pęcice się palom, o rany Chrystusowe! — zaszeptał zagadnięty z takim przerażeniem zdumieniem, jakby to sprzeciwiało się wszelkim prawom Boskim i ludzkim, aby „nasza“ wieś mogła też paść ofiarą onej wojny.

— Juści, Pęcice — potwierdził drugi. — La Niemców nową chałupę wyszykowaliście latoś w sam raz.

Piotr wpatrzył się w krwawą lunę i dymy, snujące się ciemnymi kłębam; po niebie. — Naprzeciw mnie, w tę samą lunę wpatrzony, idzie on, zjawa nocy okrutnych. „Rozdzielił nas, mój bracie, zły los i trzyma straż. Z dwóch wrogich sobie szańców patrzymy śmierci w twarz...“

Przez szeregi przeleciała komenda. Stanęli. Ktoś pacierz szeptał, ktoś ładownicę poprawiał i karabin oglądał. Minęło pół godziny męczącego oczekiwania. Zabrzmiął rozkaz. Kolumna zachybotła się i ruszyła biegiem, rozsypując się długą linią tyraljery.

Pokotem położyły się pod Warszawą rosyjskie pułki, broniąc Niemcom dostępu do niej jesienią 1914 roku. Fala niemiecka odpłynęła w tył na długie miesiące. Nie było jednak wśród niej wówczas polskich legionów. I Niemcy i Rosja wystrzegały się rzucania naprzeciw siebie Polaków. Sformowany w Warszawie Legion Grunwaldzki w lipcu 1915 roku odszedł pod Brześć, gdy ku stolicy szła brygada Piłsudskiego.



BERDYCZÓW.

Zakrystja.

Udręka serc polskich trwać miała jednak długie jeszcze lata. Jak koszarne majaki, na polach we mgle wyciągające groźne ramiona ku błądzącemu wędrowcowi, żyły w myślach polskich żołnierzy nieskończone obawy przed ostatnim okrzykiem zabijanego „wroga“. Ale na czele polskich formacji wojskowych stawali wszędzie wychowani w tradycjach rycerskich, w upartej wierze w zwycięstwo Polskiej Sprawy „niepoprawni romantycy“, na wzór tych, którzy „Księgi Pielgrzymstwa“ stworzyli.

Stawali naprzeciw siebie bracia rodzeni, jak Piotr i Staszek, wierzący, że „Ta, co nie zginęła, wyrośnie z naszej krwi“. Na zegarze dziejów wybiła godzina Niepodległości. Nad Słowiańszczyzną rozpalilo się znów słońce Polski.

## NIEBIESKI GOŚĆ

(Fragment poematu o Chrystusie).

*Szczęście: to sławne szczęście, które każdy goni,  
a którego napewno nikt nigdy nie złowi,  
podobne niemogącej dać się zamknąć woni...  
podobne niechcącemu stać w miejscu wichrowi...*

*to szczęście cichym szeptem wabione w marzeniu,  
albo wzywane krzykiem przez serca rozdarte,  
On utopił w milczeniu — w głębokim milczeniu —  
niby coś, co jest nawet wspomnienia niewarte.*

*... A jednak wplatal w mowy swe tyle błękitu,  
ku takim słońcom niósł w nich z każdą chwilą dalej —  
że słuchacze zmienieni w Aniołów Zachwytu,  
o owem sławnem szczęściu wprost zapominali — — —*

ANNA SŁONCZYŃSKA.



## CZARNE DJAMENTY.

Nie o brylantach będzie tu mowa, ale o zwyczajnym węglu kamiennym do palenia, który czasem „czarnym djamentem“ nazywany, gdy chcemy wyrazić, że jest skarbnicą nieocenionej wartości. Gdyby węgiel kamienny tylko do palenia służył, już byłby bardzo cennym i pożytecznym materiałem, lecz służy on jeszcze do wytwarzania wielu a wielu produktów, o których mało kto, poza fachowcami, cośkolwiek wiadomości posiada, a są to rzeczy bardzo ciekawe.

Gdyśmy się w szkole uczyli, że djament to nic innego, jak tylko czysty węgiel skryształizowany, nie bardzo chciało nam się w to wierzyć, że taki przejrzysty, błyszczący, twarzą kryształ jest tem samym, co owe czarne bryły, które do pieca kładziemy, tylko tamten węgiel jest czysty, a ten jest różnemi domieszkami zanieczyszczony. Jest to zupełnie błędne mniemanie. Po długich i trudnych badaniach, węgiel jest bardzo opornym materiałem do badań — chemja stwierdziła ostatecznie, że w tak zwanym „węglu kamiennym“ niema ani odrobiny węgla chemicznie czystego, pierwiastka C. Wiadomo, że gdy pierwiastek połączy się z innym, tworzy calkiem nowe ciało, niczem do składników niepodobne. Węgiel kamienny jest mieszaniną, konglomeratem, najrozmaitszych połączeń, czyli związków chemicznych, czystego węgla z innemi pierwiastkami, a przede wszystkim z wodorem i tlenem. Pierwiastek węgiel posiada zdolność łączenia swych atomów w drobiny o różnej budowie, a przytem tworzy z wodorem i tlenem niezliczoną ilość kombinacji, z których każda jest nowem odmienem ciała. Cały świat organiczny, t. j. roślinny, zwierzęta i człowiek, jest zbudowany z tych związków węgla. Jak długo roślina żyje, wytwarza za pomocą ciałek

zieleni z bezwodnika węglowego ( $\text{CO}_2$ ) i wody ( $\text{H}_2\text{O}$ ) bionnik czyli celulozę, bardzo ważny składnik swego ciała, zawierający około 50 proc. samego węgla, oraz tak zwany lignin. Po ustaniu czynności życiowej, ciało rośliny przy dostatecznym przystępie tlenu z powietrza, rozkłada się na związki nieorganiczne, głównie na bezwodnik węglowy ( $\text{CO}_2$ ) i wodę. Roślina butwieje, czyli gnije. Jeżeli zaś roślina znajduje się pod wodą, lub w głębi ziemi, gdzie niema dostępu powietrza, to rozkłada się w ten sposób, że jej własny tlen łączy się z jej własnym wodorem i węglem, przez co wytwarzają się różne gazy, przede wszystkim gaz błotny, czyli metan ( $\text{CH}_4$ ), bezwodnik i woda. Wszystkie tworzące się gazy i płyny uchodzą do ziemi, a pozostała substancja z biegiem czasu staje się stosunkowo coraz zasobniejsza w węgiel; jest to właśnie węgiel kopalny. Proces ten nazywa się zwęglaniem, w przeciwieństwie do innego procesu, który się nazywa butwieniem, albo gniciem.

Na takie naturalne zwęglanie w głębi ziemi potrzeba bardzo długiego czasu, może milionów lat, a jeżeli chcemy drzewo szybko zwęglić, podpalamy je przysypujemy ziemią, aby dostęp powietrza był mały (mielerze). Tutaj działamy za pomocą wysokiej temperatury, a w przyrodzie działa niezmiernie długi przeciąg czasu, ciśnienie warstw wyższych i inne czynniki.

Współczesne nam torfy różnią się tylko nieznacznie składem chemicznym od drzewa zwykłego, podczas kiedy węgiel kamienny, którego wiek trzeba liczyć na miliony lat, zawiera procentowo przeszło półtora razy więcej węgla, a odpowiednio mniej tlenu i wodoru.

W dawnych epokach dziejów ziemi, klimat był o wiele cieplejszy i wilgotniejszy, niż obecnie. Nic też dziwnego, że roślinność nadzwyczaj bujnie się rozwijała i pokrywała wszystkie lądy zielonym płaszczem borów i lasów. Inne to jednak były rośliny, niż w obecnych czasach, a jak one wyglądały, mamy nader liczne ślady, już to w skamieniałych ich pniach i konarach, już też w odbitkach na łupku węglowym ich kory, gałązek i liści. W epoce węglowej były to w potężne drzewa wyrosnięte paprocie, skrzypy i widłaki, które dzisiaj tylko, jako drobne okazy, w szczątkowej formie istnieją. Przepiękne w rysunku są często odbitki tych roślin i nadzwyczajna ich rozmaitość. Botaniczy nadali nazwy rodzinom i gatunkom tych węglotwórczych roślin, nazwy łacińskie, jak jest w nauce ogólnie przyjęte. A więc rozróżniają rodziny sfenopteridów, pektopteridów, lycopodiów



· GÓRNY ŚLĄSK.

Kopalnia węgla „Kleofas“.



i kalamitów, a wśród nich cały szereg gatunków i kalamitów, a wśród nich cały szereg gatunków, jak np. wśród lycopodiów: lepidodendrony i sigillarje, a wśród kalamitów, których skamieniałe pnie znajdujemy, annularje i asterofyllity. Również liczne skamieniałe pnie i korzenie spotyka się w pokładach węglowych drzew, zwanych stygmarje. Wszystkie rośliny epoki węgla kamiennego należą do roślin niższego, pierwotniejszego rzędu. Jedna tylko rodzina t. zw. kordaitów, ma znamiona wyższego stopnia, przez co przypomina niektóre obecnie rosnące drzewa.

Ze świata zwierzęcego spotykamy tylko skorupy pewnych, tej epoki właściwych, ślimaków.

W późniejszej epoce i z innych roślin, tworzył się węgiel brunatny. Rosły wtenczas drzewa wyższego rzędu, jak drzewa mamutowe i cyprysy, także jodły, sosny, modrzewie, a wreszcie różne drzewa liściaste, jak: dęby, buki, brzozy, topole, wierzby, kasztany itd.

Jakie czynniki geologiczne sprawiły, że z tej szaty roślinnej, powierzchnię ziemi okrywającej, utworzyły się pokłady węglowe pod ziemią?

Działywały wody, które od czasu do czasu zalewały obszary leśne, na których już szereg pokoleń roślin legł ze starości i pokrywały je mulem i wogóle swemi osadami. Następnie rósł na tem miejscu znowu las przez kilka pokoleń — i znowu został zalany i zamulony. To powtarzało się w długich odstępach czasu kilkanaście lub kilkadziesiąt razy w tej samej okolicy. Stąd pochodzi, że w pokładach węglowych o miąższości np. 100 m., widzimy czasem kilkanaście i więcej warstw naprzemian węgla i lupku, czyli kamienia. Dawniej tłumaczono tworzenie się grubych pokładów węgla w ten sposób, że potężne wówczas strumienie wód porywały liczne pnie drzew, unosili je i gromadzili w jakimś zakłębieniu. Tam one przymulone, uległy powolnemu zwęgleniu. Dzisiaj nauka przyjęła pierwszą teorię za prawdopodobniejszą, to znaczy, że pokłady węglowe utworzyły się na tem samym miejscu, gdzie rosły lasy (pokłady autochtoniczne), a tylko wyjątkowo powstały w innej okolicy z naniesionego przez wody materiału (pokłady allochtoniczne).

Drugim czynnikiem były siły górotwórcze, które ścisnęły i fałdowały skorupę ziemską, tak, że częstokroć nasuwały na zgromadzone masy roślinne, potężne warstwy skał i ukrywały je w głębi ziemi. Wielkie ciśnienie przyśpieszyło proces zwęglania. Wskutek kurczenia się i fałdowania skorupy ziemskiej pokłady węglowe zostały już to wychylone z pierwotnego poziomu położenia, już też pogięte (faldy) i polamane oraz przesunięte (uskoki).

Pokłady węgla znajdują się na całej kuli ziemskiej, we wszystkich częściach świata, w Ameryce (Stany Zjednoczone, Kanada, Alaska, Meksyk, Argentyna, Peru, Chile, Wenezuela), w Azji (Rosja azjatycka, Chiny, Japonja, Indje, Persja Turcja), w Afryce (Oranja, Natal) i w Australji.

Z europejskich złoży węglowych do ważniejszych należą: zagłębie angielskie, północno-francuskie, belgijskie, holenderskie, westfalskie, nadreńskie lewobrzeżne i prawobrzeżne złoża. Dalej wymienić należy: zagłębie górnośląskie i czeskie, obszar Saary i dwa złoża na Węgrzech.

Kraje południowe, jak Hiszpanja, Italia, Grecja i państwa bałkańskie posiadają bardzo mało węgla, podobnie ubogimi w węgiel są kraje północnej Europy.

Polska należy do tych szczęśliwych państw, które mają węgla pod dostatkiem i na własne potrzeby i na wywóz.

**Zagłębie Górno-Śląskie.** Cała przestrzeń zagłębia obejmuje około 6000 km.<sup>2</sup>, lecz w odbudowie znajdują się tylko części najwięcej wysunięte ku powierzchni ziemi. Nie licząc się z granicami państwowymi, można podzielić zagłębie na następujące naturalne części: 1) Tak zwany „przemysłowy trójkąt Górnego Śląska“ i jego bezpośrednie przedłużenia, któremi są: zagłębie Dąbrowskie i Jaworzniańskie, 2) Mniejsza wyspa karbonu około Nikołajowa i Orzesze. 3) Jeszcze mniejsze wypiętrzenie około Rybnika. 4) Zagłębie Morawsko-Ostrawskie i Karwiny. 5) Zagłębie Brzeszcze.

Przemysł na Górnym Śląsku datuje się od 150 lat, a na Morawach od 100 lat.

Największa głębokość pokładu jest na zachodzie, wynosi około 7000 m. Ku wschodowi i północy grubość zmniejsza się do 1200 m. Całe Zagłębie Górnośląskie stanowi nieckę wydłużoną w kierunku półn-zach., zgo-



GÓRNY ŚLĄSK.

Ladowanie węgla na wózki z szybu kopalni „Kleofas”.  
(Ze zbiorów Tow. Krajoznaw.).



dnie z biegiem Sudetów. Budowa w postaci niecki została skomplikowana przez miejscowe wypiętrzenie na linii Zabrze — Królewska Huta — Mysłowice, z kilku miejscowymi kopułami. To wypiętrzenie, czyli źródło, jest ograniczone od północy zagłębieniem, czyli łękiem bytomskim, podobnie na zachodniej i wschodniej krawędzi są t. zw. łęki brzeżne.

Jednym z tych łęków brzeżnych jest **Zagłębie Jaworzno** z kopalniami w Jaworznie, Sierzy i Dąbrowie. Pokłady tworzą tu południowy stok głównego siodła Katowice — Mysłowice i razem z nim wschodni brzeg całego zagłębia.

**Zagłębie Tenczynek** stanowi przedłużenie poprzedniego ku południowemu wschodowi. Z pod bardzo grubych warstw, które pokłady węgla są przykryte, występuje węgiel na powierzchni tylko w Tenczyнку, Rudnie i Zalasiu.

**Zagłębie Brzeszcze** zostało głębokimi wierceniami dokładnie zbadane i stosunek pokładów węgla do całości Zagłębia Śląskiego poznany. Produktywne serje pokładów mają miąższość od 50 do 300 m.

Zasoby węgla kamiennego w tych wyżej wymienionych zagłębiach wynosi, licząc do głębokości 1000 m, około 75 miliardów tonn, a do 2000 m. 165 miliardów tonn. Produkcja wynosi rocznie około 40 milionów tonn.

Oprócz węgla kamiennego, posiadamy w Polsce znaczne zapasy węgla brunatnego, zwanego także burowęgiel. Zalega on tylko wyjątkowo większe obszary, zazwyczaj tworzy liczne, lecz nie duże zagłębia, z nielicznymi pokładami o znacznej miąższości.

Węgiel brunatny występuje w Polsce w bardzo wielu miejscach, najwięcej w Poznańskim i na Podkarpaciu. W granicach b. Kongresówki znajduje węgiel brunatny wzdłuż północno-wschodniej granicy Zagłębia Dąbrowskiego na powierzchni do 70 km. Złóża eksploatuje się w 7 czy 8 kopalniach: koło Nierady, Gołachowic, Poremby, Kuźnic, Blanowic, Cęgowic, Zawiercia. Roczna produkcja wahała się od 125,000 —

155,000 tonn, podczas wojny Niemcy podnieśli ją do 220 tys. tonn.

W Poznańskim największe pola węglowe znajdują się koło Czarnkowa, Międzychodu, Międzyrzecza, także między Kościanem, Leszmem i Gostyniem, koło Jarocina, Mogilna i Inowrocławia. Według przybliżonych obliczeń, w Poznańskim jest około 2 miliardy tonn węgla brunatnego. Górnicze warunki zalegania węgla nie są zbyt pomyślne, a wobec znacznych kosztów odbudowy węgla poznański za czasów niemieckich nie mógł konkurować z dużo tańszym węglem z innych okolic Niemiec i przemysł burowęglowy w Poznańskim dopiero zaczyna się rozwijać.

W Małopolsce złoża węgla brunatnego występują licznie na całym przedgórzu Karpackim i na płycie podolskiej. Największe obszary są pod Kolomyją, oraz w powiatach: Żółkiewskim i Złoczowskim. Węgiel jest niejednakowej wartości, najlepszy złoczowski daje do 3200 kaloryj.

Węgiel służy do palenia nie tylko w tej tylko postaci, w jakiej wydobywamy go w kopalni. Wiadomo, że z węgla wydobywamy gaz świetlny, znajdujący coraz większe zastosowanie w przemyśle, a także w domowym gospodarstwie (kuchnie gazowe). Otrzymujemy przytem koks i smołę pogazową, która ulega dalszej przeróbce, a mianowicie wytwarza się z niej benzen ( $C_6H_6$ ), jeden z najniezbędniejszych do przeróżnych przetworów chemicznych związek, wyrabiany dlatego w ogromnej ilości. Z benzenu otrzymuje się benzol, acetylen, naftalinę, antracen, różne oleje, paliwa płynne, tyśiące przepięknych barwików, perfumy o najrozmaitszej woni, sacharynę, materiały wybuchowe, środki lecznicze i wiele innych rzeczy.

Czyż to nie jest godne podziwu, że w skarbcu przyrody przez miliony lat przechowała się i energia ciepła słońca i wonie i barwy ówczesnych roślin, ich własności lecznicze, ich siła i wszystko, co wówczas w nich istniało? Niemniej należy się hold i podziw geniuszowi ludzkiemu, który potrafił te ukryte skarby odkryć i na pożytek obrócić.

Jan Piętko.

## ROK KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO.

(Ks. Nikodem Ludomir Cieszyński: **Rocznik katolicki** na Rok Pański 1928. Rok VI. Nakładem autora. Poznań. Str. 699).

VI-ty tom „Roczników katolickich“ ks. Cieszyńskiego, wydany starannie nakładem autora, stanowi dla interesujących się sprawami Kościoła — podręczną encyklopedję. Przyciągnęłyby się jednak „Roczniki“ każdemu przeciętnemu czytelnikowi, gdyż uświadomiłyby go o stanie Kościoła katolickiego w różnych krajach kuli ziemskiej, ukazałyby mu przed oczyma postacie wybitnych działaczy religijno-społecznych, a nadto dawałyby mu światopogląd bezstronny, wolny od naićności szowinizmu czy partyjności. Autor pisze o różnych państwach według porządku alfabetycznego, pewnie dla

łatwiejszej orientacji w obszernym materiale, my jednak wolimy użyć rozmieszczenia geograficznego.

Wędrowkę swą po współczesnym świecie rozpoczyna kronikarz z pałacu watykańskiego, gdzie Ojciec Święty na dwu tajnych konsystorzach, odbytych w dniach 20 czerwca i 19 grudnia 1927 r. zamianował siedmiu nowych kardynałów. Przeważa wśród nich żywiol romański, wbrew tradycji niema jednak ani jednego Włocha. Zresztą 2 Francuzów (ks. ks. Binet i Lepicier), kanadyjski prymas O. Rouleau, następca wielkiego Merciera — van Roey, biskup ostrzyhomski — Seređi i wreszcie Polak — arcybiskup gnieźnieński - poznański — ks. dr. August Hłond.

Uwzględnione przez szan. autora stosunki kościel-



ne polskie pomijamy w niniejszym przeglądzie jako na ogół dobrze czytelnikom znane.

U naszego zachodniego, niemieckiego sąsiada, mimo spoganienia, dechrystianizacji i demoralizacji, dają się zauważyć zwycięstwa katolicyzmu nad przeżywającym kryzys protestantyzmem. Katolickie związki młodzieży skupiają pod swoimi sztandarami liczne rzesze uczniów zarówno wyższych, jak i niższych uczelni. Naprzekór materialistycznemu imperjalizmowi pruskiemu kwitnie chrześcijański pacyfizm, gdzie indziej odzywają się głosy o konkordacie. Wyrazem rozwoju życia katolickiego był wielki kongres w Dortmundzie, na który przybyli także znani mężowie stanu z d-r'em Marxem, kanclerzem Rzeszy na czele. Oczy całego świata zwraca na Niemcy sprawa Teresy Neumann z Konnersreuth, podlegającej stygmatyzacji. Ponieważ jednak ostatecznie jej nie wyjaśniono, biskupi zabronili w Niemcym odbywać pielgrzymek do tej górskiej miejscowości.

W Rosji, obok kryzysu cerkwi prawosławnej, w której wnętrzu zwalczają się trzy kierunki, a mianowicie t.zw. obnowieńców — dążących do demokratyzacji duchowieństwa, zwolenników arcybiskupa Tichona i skrajnych oportunistów z pod znaku Siergieja Starogrodzkiego — panuje nadal kryzys wewnętrzny. Usunięcie wszechwładnych dotąd żydów przez gruzińskiego dyktatora Stalina nie przyniosło pożądanej zmiany na lepsze. Wśród ludu szerzy się demoralizacja, inteligencja przemysłowa nad stworzeniem nowego religij, pośredniej między chrześcijaństwem, a ateizmem, a opartej na kulcie Lenina. Nadto niektórzy antybolszewicy, widząc ile zła przyniosła Rosji dziesięcioletnia dyktatura zwolenników zachodniego marksizmu, chcą nawiązać bliższe stosunki z Azją.

W „wielkiej Rumunii“ powojennej, którą autor sam zwiedził w lecie ubiegłego roku — większość, bo 72 proc. ludności stanowią prawosławni (ortodoksi), których głową jest prymas Mirion Cristea. Katolicy znajdują się głównie w zdobytym na Węgrzech Siedmiogrodzie. Mimo tego posiadają parę diecezji, a metropolita bukareszteński, ks. Cisar, został mianowany senatorem.

W sąsiadujących z Rumunją — Węgrzech, stosunki kościelne ułożyły się nader dobrze. Po upadku rządów komunistycznych, jakie tu bezpośrednio nastąpiły po wielkiej wojnie — musiał walczyć jeszcze katolicyzm z wrogim mu kalwinizmem, który pod pozorami utworzenia „kościół narodowego“, zjednał sobie 21 proc. ludności i posiada wielu przedstawicieli w parlamencie, m. in. premiera Bethlena. Wielkim działaczem katolickim był zmarły w kwietniu ub. r. uczony biskup Prohaszka, autor licznych prac naukowych, a zarazem kierownik ruchu chrześcijańsko - społecznego. Niedawno spotkał „ojczyznę św. Stefana“ wielki zaszczyt, przejawiający się w nominacji na kardynała młodego prymasa — Sereiego.

W Czechosłowacji kwitnie laicyzm i bezwyznaniowość. Obrano sobie Husa za wzór bohatera narodowego, a w celu odciążenia mas od Kościoła niejaki ks. Farsy założył „Cerkiev ceskoslovenską“, kościół narodowy. Antykatolicko usposobionymi są wielcy mężowie stanu, jak Masaryk i Benesz. Na tle gloryfikacji przez rząd Husa doszło w r. 1925 do poważnego zatargu z Watykanem, który zażegnała silna partja katolicka, licząca kilkudziesięciu przedstawicieli w parlamencie. Jak widać z tych wypadków, antyreligijnej robocie masonerii odpowiada zorganizowana reakcja katolicka, posiadająca wielu wybitnych działaczy, jak zmarłego w r. 1926 — biskupa Horskiego.

W katolickiej nawszkroś Hiszpanji rządzi od r. 1902 prawdziwie chrześcijański król, Alfons XIII. Sekunduje mu w pracy polityczno - społecznej dyktator Primo de Rivera, wierny syn Kćcioła. Wszakże i tu dawały się odczuć wolnomularskie prądy (Ferrer, Blasko Ibanez), ale w ostatnim dziesięcioleciu nastąpiło odrodzenie religijne kraju, do czego przyczynił się w znacznej mierze zmarły prymas Reig y Casanova.

W bliźniaczej Portugalji po prześladowaniach Kościoła, zapoczątkowanych w XVIII stuleciu przez ministra Pombala — rozpoczął się okres wolności religijnej. Życie społeczne i literatura pozyskały sobie nowych katolickich szermierzy, a prezydent Carmona sprzyja Kościołowi.

W Anglii dwa zjawiska nasuwają się pod uwagę: rozkład Kościoła ustanowionego, przejawiający się w wprowadzeniu materialistycznego modlitewnika, co zraziło sobie fanatycznych purytanów i nadanie nowych praw katolikom. T. zw. Roman Catholic Relief Bill ruguje z życia państwowego dotychczasowe ustawy, stanowiące zaporę dla swobodnego rozwoju Kościoła. Przeciwno niesprawiedliwym prawom wystąpili nawet protestanci.

Przechodzi autor do stosunków amerykańskich. Za Atlantykiem różnie się one ułożyły, niejednakowe jest stanowisko władz i społeczeństwa wobec Kościoła. W protestanckich i sekularskich Stanach Zjednoczonych katolik Smith kandyduje na Prezydenta Republiki, a w katolickim Meksyku — prezydent Calles okrutnie prześladowuje Kościół. Barbarzyńskie zachowanie się rządu meksykańskiego wobec katolików dało dowód stałości i silnej wiary tamecznych mieszkańców. Bohatersko stawiali oni opór zarządzeniom rządu, bohatersko szli na śmierć, wreszcie mężnie porwali za broń. Orężne powstanie pod wodzą generała Gonzales'a jest wyrazem żywotności i męstwa meksykańskich katolików.

Zmienne i nierównomierne są też stosunki brazylijskie i kanadyjskie.

Łącznie ze stosunkami misyjnymi uświadamia nas autor o położeniu w Chinach i Japonji. W największym kraju na ziemi, gdzie kwitnie buddyzm i filozofja Konfucjusza, misje rozwijały się dotąd świetnie. Dopiero w ostatnich latach walka bolszewizujących Kantonczyków z północną republiką zagroziła ich bytowi. W Japonji aż do połowy XIX w. prześladowano katolików, którzy byli zmuszeni wieść ukryte życie, dopiero teraz stosunki się poprawiły, a nawet młody mikado Hiro Hitto złożył swojego czasu wizytę Papieżowi.

Następnie porusza autor sprawy międzynarodowe, a więc obok misyjnych także internacjonalne kongresy o podłożu religijnem, z pomiędzy których wybija się konferencja misyjna w Poznaniu, na który stawili się przedstawiciele wszystkich narodowości, a między nimi przyjaciel Polski, francuski biskup Baudrillart. Kulminacyjnym punktem zjazdu był pogrzeb mężnego arcybiskupa Ledóchowskiego, (29 września z. r.) wygnanego przez Prusaków, a spoczywającego dotąd na obczyźnie. Zatrzymuje się nad kwestją niebezpieczeństwa masonerii, która ujawnia się coraz bardziej i w myśl wskazówek swych naczelnych łóż toczy walkę z Kościołem. W Polsce reprezentuje ją założona przed pięcioma laty — Łoża Polska pod przewodnictwem znanego literata, a obecnego senatora, Andrzeja Struga.

Przy zamknięciu „Roczników“ zaznacza autor stan ogólny Kościoła przy scy'ku 1927 roku, który w wielu krajach zda się poprawiać.

Z. A.



## Z POLSKIEGO



PORT W GDYNI.

*Widok z Kamiennej Góry.*

HEL.

*Ulica główna.*



# WYBRZEŻA.

Fot. *Sf. Nowak*—*Gdynia*.



GDYNIA.

*Dworzec.*



HEL.

*Port rybacki.*





## 8. GDY DZWONI SIERP...

Na olbrzymiej przestrzeni łądów naszego globu rozpoczęło się wielkie święto pracy. Gdy pierwszy sierp zadzwonił na łąkach, zstąpiła na ziemię w majestacie słońca, promienna i wspaniała, uroczystość ŻNIWA.

Ruszyła w pola procesja przeogromna, całej niemal współczesnej ludzkości. Kornie pochylona, zreklibys, idzie wielbić cud i tajemnicę chleba. Oto bowiem Pan wziął ponownie w swe ręce pięć części świata, jak pięć chlebów jęczmiennych, i rozmnożył je, błogosławiąc w niepoliczony ziarna. Obracał ku nim promienne oko słońca, ścigał nad nimi ramiona wicherów niebieskich, skrapiał wodą świętą deszczów i rosy porannej, kadzidłami mgieł osnawał. Aż pod tą mocą błogosławiącą z gleby szarej, z głazów i kamieni, przemienionych w soki żywe, zrodził się chleb upragniony, pokarm smaczny i miły. Przy tym stole, zasłanym obrusami traw i kwiecica, nasyca się dwa miljardy ludzi, rzesza zgłodniała, łaknąca chleba powszedniego. Oto go biorą w uniżeniu, w snopach ciężkich i plennych, jak gdyby brali w ramiona świętą łaskę Bożą...

Uroczystość żniw, święto pracy! Twardej zaiste pracy, pełnej mozola i potu i trudu! Nie masz tu mowy, ani być nie może o ośmiogodzinnym dniu roboczym. Rano, skoro świt, kiedy jeszcze gwiazdy nie poschodziły z nieba, przybywa rolnik i w sierp i w kosę dzwoni. Rozpoczyna pracę, długą, mozolną i zmudną pod palącymi promieniami słońca. I dopiero, gdy słońce okrąży pół nieba i znużone pochyliła się za horyzont, wtedy rolnik przypomina sobie, że i jemu czas na krótki spoczynek. On, rzechy można, wyprowadza słońce i on je gasi po dniu roboczym wspólnym. A jak ukochał swą pracę! Łan zbożowy i jego serce to nieomal jedno i to samo. Boi się kłoska ma ego uronić, bo przecież każdy kłos nie tylko pełen chleba, lecz i rzewnej, słodkiej pieśczoły jego rąk, jego troskliwej żrenicy, kiedy zasiewał ziarno i kiedy pełen łęku doglądał jego wzrostu. Groza burzy i wicherów straszliwych pierwszej godziła piorunem w jego duszę, nim zawisła ponad łanem...

Ale dziś już obawy minęły, troski skończone. Naładowane snopami wozy ciągną do stodoł, skrzypiąc radośnie, jakby wiedziały i rozumiały, że wiozą chleb, otuchę, moc i nadzieję całego świata, jeden z największych darów Bożych!...

Najdroższy mój! — Czy pomyślałeś kiedy o tem, że jest podwójne święto żniwa?

Dzień żniwa, kiedy zbieramy plony łądów, chleb dla ciała, i dzień żniwa, kiedy zbieramy plony, posiane w duszy naszej. Dzień ten przyjdzie dla każdego człowieka, i dla mnie i dla ciebie, i będzie zaiste dniem uroczystym nad wyraz...

Zadzwoni sierp i kosa niebios ponad łanami serca twego. Przystąpi Anioł, żniwiarz Boży, rozpatrzeć plony duszy twojej, obejrzeć i zebrać troskliwie każdy kłos, każde źdźbło zielone oplakać, wszelkie chwasty i kłakołe z gniewem świętym powyrywać i związać i rzucić na spalenie. Przystąpi Anioł, żniwiarz Boży i przechodzić będzie łan za łanem... Łan może rozorany twej pamięci... Łan rozwichrzony wycobraźni... Łan rozumu i sumienia, łan serca i uczuć tak różnorodnych, łan może pusty zasad wiary, które mi miałeś się kierować w życiu!... Rozmierzy łan twej młodości i lany lat dojrzałych... I zapyta, coś posiał, coś wypielegnował na wieczny chleb twój? Czyś zaościł każdy zagon i rozkruszył każda twardą grudkę ziemi? Czyś hojną ręką sypał ziarno wyborne i czyste w głębię pamięci, rozumu i serca? Czyś dla dobra ducha pracował w pocie czoła od świtu aż do zmierzchu dnia?!...

Mniemam, że Aniołowi żniw ducha odpowiesz radośnie z podniesionem czołem, że nie zapalą ci się na obliczu straszne ognie wstydu, które płoną na wieki. Powiesz Aniołowi Pana, żeś jako sługa wierny pracował, ofiar nie szcędząc, ni potu, ni trudu. Wiały wichry i orkany, chodził krwawy cyklon ludów już od najwcześniejszych dni, kiedyś zakwilił w kołysce, aby z duszy twojej wywiać złote, ważne ziarno siewu Bożego. Osty rozrastały się i ciemnie, wróg zasiewał wokół na łanach twoich kłakołe, głazami i gradem głupich porzywów wieku zasypywał wschodzący już plon. A tyś wytrwał, a tyś walczył! Na zniszczonych, wydeptanych polach zasiewałeś nowe ziarno, ziarno niebios, ziarno szlachetne ziemi. Nieraz sił już nie stawało do pracy, zamierała w tobie moc... Wówczas ramiona wznosiłeś w niebo w kornej, rzewnej, przez nikogo z ludzi nie słyszanej modlitwie, aby Pan ochraniał plony ducha twego. Tyś się razy bybyś porzucił pracę, przekreślił swe trudy, wdeptał w ziemię swój pot... Ale Pan cię obronił od zniechęcenia, rozpalil iskrę nadziei w twem sercu i przypomniał sobie Jego słowa zaprawdę Boskie: „W cierpliwości posiadziesz owoc ducha“. Zasiewałeś przeto dzień po dniu, godzina po godzinie, cicho, pogodnie i mężnie, chociaż wszystko, zdawało się, leci z twoich rąk. Widziałeś, że rolnik, gdy dziś zasiał, nie zbiera plonów zaraz jutro, ale cierpliwie czeka czasu żniwa. I ty czekałeś i czekasz czasu żniw dla ducha.

Oczekujesz pełen ufności, widząc, że nadzieja nie zawiedzie cię. Przemina czas burz i niepogody, dni huraganów i klęsk, godziny trwoźnej, znoej pracy. Nadejdzie wreszcie święto żniwa i usłyszysz głos radostny Pana: „Dobrześ pracował, sługo wierny! Plon zebrałeś sto-krotnie! Wnijdź do wesela Pana twego!“

M.



# Z WIEDZY, LITERATURY I SZTUKI.

## KATOLICYZM I SZTUKA.

Święty francuski pisarz Barrés powiada: „c'est peu de voir les décors, on voudrait connaître les ames“ (nie wystarczy poznać zewnętrzną szatę, należy poznać samą istotę). Nie można podziwiać piękny dorobek sztuki i w powierzchowny sposób jej wartości ocenić, a nie wnikać w ducha, który był jej inspiratorem głównym, w przeciągu całych wieków.

Kiedy się umie patrzeć obiektywnie i usiłuje zbadać, co przyczyniło się — głównie — do rozkwitu sztuk pięknych w wiekach średnich, w epoce odrodzenia, czy okresach późniejszych, to dojdziemy do przekonania, że wielki duch katolicyzmu magna pars fuit w przepięknym dziele ludzkiej kultury, jak — zresztą — tej kultury rozsądnikiem, we wszystkich jej przejawach, był ten sam katolicyzm.

To, co powiedziałem wyżej, bardzo pięknie ujął Emil Male, profesor francuskiego instytutu w Rzymie, znakomity archeolog, autor dzieła p. t.: „L'histoire religieuse du moyen age“ (Historja religijna wieków średnich).

„W poprzednich swoich dziełach — pisze Male — starałem się nakreślić freski sztuki średniowiecznej, wydobyć z niej bogactwa, zrodzone z chrześcijaństwa, sztuki, która, przez szereg wieków, była sztuką Zachodu. Doszedłem do symbolizmu. W średnich wiekach „katedra“ stała się księgą otwartą katechizmu „z kamienia“, której pomniki uczyły historii świata, dogmatów, żywotów świętych, wiedzy i nauki. Była ona encyklopedia, z której można wyczytać, jak artyści rozumieli i wyczuwali myśli Doktorów Kościoła. By należycie zrozumiał twórczą duszę artystów, naprawdę, swoją własną urabiać na ich wzór, by móc należycie wnikać w ich natchnienia. Zato piłem się w źródła życia moralnego ówczesnych czasów, w literaturę średniowieczną, i wtedy zrozumiałem, jak wiele jest sztucznych punktów, pomiędzy nimi a sztuką. Katedry były tego odzwierciedle-

niem. Każda doktryna znalazła swoje uplastycznienie w sztuce. Na sztukę trzynastego wieku, poważną, intelektualną, — wywiera wpływ św. Tomasz z Akwinu, na sztukę czternastego i piętnastego wieku, patetyczną i uczuciową — św. Franciszek z Assyżu...“

Powłada dalej p. Male, że pomylił się, gdy w swoim czasie pisał, że „od soboru trydenckiego znajdziemy jeszcze wielkich artystów, natchnionych duchem chrześcijańskim, ale nie będzie już sztu-

ki religijnej“ i wola: „jak uczeni winni być ostrożni w swoich ostatecznych wnioskach!“, gdyż „nowe badania i podróże wykazały mi, że—skoro się wnika w sztukę Zurbarana, czy El Greca—wybitne odnaleźć można wpływy, czy św. Teresy, czy św. Ignacego Loyoli w sztuce, sztuce, która kroczy śladami wskazań duchowych katolickiej doktryny“.

„Jest sztuka „jezuicka“ (termin, używany w historii sztuki), ale jest również



GDYNIA.

Widok ogólny.



OKSYWIE.

Fot. St. Nowak—Gdynia.



sztuka franciszkańska, karmelicka, dominikańska. Wszystkie te znakomite zakony w siedemnastym wieku odznaczają się działalnością intensywną, ich zabiegom zawdzięczamy szereg wspaniałych budowli, dzieł sztuki. A w pracy tej, gdziekolwiek ona jest, czy w Italji, czy w Hiszpanji, lub we Francji, wyczuć się da jakiś wspólny pierwiastek tej bogatej siebie.

„Zdaje mi się, że najlepiej spostrzedz można to w Rzymie. Papieże są — naprawdę — od Odrodzenia począwszy, wielkimi inspiratorami sztuki religijnej. Ich wpływ rozszerza się, rozrasta się za pośrednictwem kongregacji. Wszystkie one mają w Rzymie swoich przedstawicieli. Wywodzą się z jednej atmosfery i wedle niej kierują po całym świecie. To jest właśnie przyczyną, dla której, w rozmaitych krajach, przy uwzględnieniu lokalnych, narodowych odchyleń, odnaleźć można, w dziełach sztuki jedno i to samo źródło natchnienia. Rzym jest naprawdę tym ośrodkiem, Rzym był mistrzem sztuki. Jego doktryna wyraża się, uplastycznia się w kształtach, w formie sztuki... Literatura religijna w dalszym ciągu uplastycznia się w sztuce. W Rzymie badałem bibliotekę watykańską, a przedewszystkiem bibliotekę Barberini, cenną z tego względu,



LEON BIGOSIŃSKI.

*Portret olejny Bronisława Wiśniewskiego.*  
(Ze zbiorów Tow. Zachęty Sztuk Pięknych).

gdyż pozostała taka, jaką była w siedemnastym stuleciu. Widziałem książki, które — w tej epoce — były czytane i dośzukiwałem się ich wpływów na twórczość artystyczną. One są uderzająco wybitne!“

Przytoczony tutaj — w wolnym tłumaczeniu — głos wybitnego uczonego francuskiego, który niedawno wszedł do grona „nieśmiertelnych“, jest wymownym dowodem, jak wielki wpływ na

rozwój sztuk pięknych wywierał katolicyzm, ile one mu zawdzięczają, o czym zresztą przekonać się można, gdy studiując dzieje sztuki, będziemy, za wzorem poważnego ich badacza, jakim jest p. Male, starali się wniknąć w źródła natchnień artystów minionych czasów.

A. O.

### LEON BIGOSIŃSKI.

Nie należy mniemać, że artystą w najlepszym tego słowa znaczeniu jest mistrz w swej sztuce najbogiejszy. Bywają artyści, wysoce uzdolnieni, całą wartość swego talentu upatrujący w korzyściach materialnych, jakie z niego ciągną. Tacy — zresztą bardzo wyjątkowi wśród kapłanów sztuki — uprawiają w stosunku do niej rodzaj simonii. Znakomity rzeźbiarz francuski, Auguste Rodin, wyraził się, że artystą w znaczeniu najogólniejszym tego słowa, jest ten, który w twórczości swej znajduje upodobanie<sup>1)</sup>.

Bywają również artyści, którzy, nie zdoławszy osiągnąć biegłości w swej sztuce w tym stopniu, do jakiego dojśćby pragnęli, odczuwają dla niej cześć najgłębszą i wobec tego są prawymi jej kapłanami.

Do rzędu tych ostatnich zaliczyć należy zmarłego dnia 26 kwietnia r. b. Leona Bigosińskiego. Urodzony w 1871 r., po odbyciu studjów ogólnych, zapisał się około roku 1894 do szkoły sztuk pięknych w Warszawie i uczęszczał do niej przez dłuższy szereg lat, niż wielu jego towarzyszy. Brak środków materialnych nie pozwolił mu udać się do którejkolwiek z wyższych uczelni artystycznych i skłonił do poprzestania na skromnych dochodach prywatnego nauczyciela rysunków. Ten brak wyższego wykształcenia był powodem, że Bigosiński rzadko który ze swych obrazków uznawał za odpowiedni do wystawiania na widok publiczny. Dopiero w r. 1905 spotykamy w rocznikach Tow. Zachęty Sztuk Pięknych pierwszy jego krajobraz „Brzozy“, a w ciągu następnego dziesięciolecia pojawiają się na wystawach Towarzystwa po jednym, najwyższej po dwa jego utwory rocznie. Były to płody jego fantazji, wypieszczone uczuciem ojcowskim, z którymi rozstawał się niechętnie, a cenił tak wysoko, że nabywców znajdowały rzadko.

Ale życie ma swoje wymogi nieubłagane, które w czasie wojny światowej, przy braku zapotrzebowania na lekcje

<sup>1)</sup> Le mot artiste dans son acception la plus large signifie pour moi ceux, qui prennent plaisir à ce qu'ils font. (Auguste Rodin — L'Art — entretiens réunis par Paul Gzell — Paris 1912. Stronice 297).



LEON BIGOSIŃSKI.

*Odwiedziny samofnika.*

(Własność Bogusławy Skoczyńskiej).



prywatne, skłoniły artystę do szukania zarobków chwilowych w pracy biurowej w utworzonym w r. 1914 wydziale zaopatrywania Magistratu m. Warszawy. Z tych samych względów objął on w r. 1920 urządowanie w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Odtąd już tylko w rzadkich chwilach, wolnych od zajęć obowiązkowych, oddawał się on ukochanej przez się twórczości artystycznej, lecz pomimo tego, praca jego w tym kierunku była może płodniejsza, niż dawniej. Zawiązane w roku 1922 stowarzyszenie artystów „Pro Arte“, zaprosiło Bigosińskiego do swego grona i dodało bodźca do obfitego zasilania wystaw, urządzanych przez rzeczoną grupę malarzy w świetlicach „Zachęty“.

Jeszcze w czasie studjów w Szkole Sztuk Pięknych Bigosińskiemu najwięcej przemawiały do serca utwory Arnolda Böcklina. Pomimo tego, nie stał się on bezmyślnym jego naśladowcą, a tworzył zawsze tylko rzeczy, bezwzględnie odpowiadające swemu indywidualizmowi — zupełnie szczerze. Pociągał go zwłaszcza świat dziecięcy. Odczuwał on względem tego środowiska niewinności ową tkliwość Chrystusową, tak wymownie zaznaczoną w Ewangelji. Lubił bawić się ze swemi małemi przyjaciółmi, opowiadać im bajki w sposób malarski, w sposób, wykluczający dłuższe narracje, a natomiast dostosowany do pojęć pokolenia, ledwo od ziemi odrosłego. Jedyna poezja odczuwana w tym wieku — to kwiat czarownicy, fantastyczny, który w młodocianej wyobraźni dziwnie się kojarzy z rzeczywistością. Świat, odtwarzany przez naszego artystę, zaludniony bywa zwykle przez krasnoludków, młodocianych faunów, oraz inne istoty bajkowe, obok których snuje się dziatwa polska o doskonale uchwyconym i cudnie ujętym wyrazie naiwności. W wizjach, odtwarzanych przez artystę, koloryt dalekim jest od efektów, poszukiwanych przez impresjonistów, a natomiast cieniami swemi tajemniczymi i światłami jaskrawymi odpowiada w zupełności fantastycznej treści kompozycji. Jeżeli treść ta w pewnym stopniu przypomina obrazy Böcklina, to koloryt różni się od nich zupełnie. Artysta szwajcarski odczuwa jakąś romantyczną tęsknotę, jakiś nastrój w rodzaju tego, którym przepojone są melancholijne strofy „Wędrowek Childe-Harolda“, podczas gdy Bigosiński niezawsze odtwarza niebo pochmurne, a często lubuje się w tonach gorących i wesołych. Mało radości w życiu doznając, artysta szukał jej w świecie fantastycznym.

Realizm w sztuce — w moim rozumieniu — to gramatyka, którą artysta



LEON BIGOSIŃSKI.

(Własność wdowy po artyście).

Własna.

posługiwać się winien w tym celu, aby mógł być rozumiany przez ogół, lecz realizm nie powinien być celem artysty głównym i jedynym. Współzawodniczenie z fotografem jest nietylko poniżającym dla artysty, lecz również bezowocnym. Jeżeli bowiem dotąd fotografia nie zdoła ściśle barw przyrody odtwarzać, to godzi się przypuszczać, że z czasem, przy jakimś nowem udoskonaleniu, dopiąć tego potrafi. Celem dzieła sztuki winno być zapoznanie ogółu ze światem wewnętrznym artysty, z nastrojami poetycznymi przez niego odczuwanymi. Zaś kubistyczne i inne nowoczesne malarstwa, jako trudne do pojmowania dla ogółu, a pozatem w większości wypadków zupełnie nie zasługujące na jego uwagę, wcale celowi temu nie odpowiadają.

Bigosiński nie był bezwzględnym wielbicielem realizmu, lecz posiłkował się nim z upodobaniem i z sumiennością dla wypowiedziania tego, co myślał i co odczuwał, a odczuwać umiał piękno istotne.

Juljan Wasiutyński.

#### TEATR REGIONALNY.

„Wesele na Kurpiach“, obraz sceniczny w czterech aktach ks. Władysława Skierkowskiego.

Na ulicy Czerwonego Krzyża w Warszawie, w domu Związku Pracowników Kolejowych, znajduje się nowa, z komfortem urządzone sala teatralna w stylu

modernistycznym, z bardzo szczęśliwie przeprowadzoną ornamentyką drzewną, w kombinacji form kubicznych i trójkątnych. W tej sali rozgościł się teatr regionalny pod dyrekcją p. Tadeusza Skarżyńskiego, dający barwne i ciekawe widowisko „Wesele na Kurpiach“, ułożone przez ks. Władysława Skierkowskiego, który, ze szczególnem zamiłowaniem, bada obyczaje i pieśń tego odłamu ludu polskiego. Od wieków zamieszkują Kurpie części powiatów: kolneńskiego, ostrołęckiego i przasnyskiego, a wśród szumiących borów i lasów na ziemiach piaszczystych i sapowatych, Kurpie mają właściwe sobie cechy zarówno w dialekcie mowy potocznej, o stałych właściwościach lingwistycznych, jak i w obyczajach i obrzędach. Lud ten, bogato obdarzony od natury, ma wrodzone zdolności artystyczne, widoczne „w budownictwie chat, rzeźbieniu krucyfiksów, gzymsów nad oknami, kobiety zaś wyrabiają bardzo ładne kilimy, dywaniki i płótna“, jak opiewa krótka przedmowa do libretta „Wesela“, zawierającego szereg pieśni ludowych.

Ks. Władysław Skierkowski poświęcił długie lata pracy na to, aby uratować z pieśni, tańców i ceremonij weselnych kurpiowskich to, co jeszcze istnieje z tych skarbów prastarej polskiej kultury, które giną z nadzwyczajną szybkością. Nakładem Towarzystwa Naukowego w Płocku ukazał się pierwszy tom jego wydawnictwa, „Puszcza kurpiowska w pieśni“. Autor zebrał już podobno materiały na dalsze dziesięć tomów tego folklorystycznego bogactwa.

Tekst „Wesela na Kurpiach“ nie jest sztuczną literacką kompozycją, ale odtworzenie wierszem różnych faz kojarzenia się małżeństw, zawiera w czterech obrazach: „wypyty“, „rajby“, „rozpleciny“ i „oczepiny“.





„WESELE NA KURPIACH“.

*Zespół całej trupy wykonawczej.*

„WESELE NA KURPIACH“.

*Panna młoda przed oczepinami.*

W pracowitem życiu ludu, uprawiającego glebę rodzimą w pocie czoła, zabiegami miłosnymi, swatami i obrzędami weselnymi są takim samym przejawem poezji ży-

wota, jak pęki kwiecista, poprzedzające okres płodności u roślin i drzew. W tej dobie przemawia uroczy wdzięk młodoci, wiosennej doby życia, gdy potężny

głos przyrody budzi rozkoszne pragnienia, porywy i zachwyty, gdy powstają siły tajemne, ciągnące ku sobie młodzież męską i żeńską nieprzepartym urokiem. W czterech obrazach „Wesela na Kurpiach“ widzimy, z jaką powagą lud nasz traktuje sprawę miłości i małżeństwa, tak często lekkomyślnie teraz w sferach inteligentnych i burżuazyjnych zdawanego na wolę przelotnych kaprysów i egoistycznych zachcianek. Małżeństwo to dla ludu sprawa bardzo doniosła i uroczysta, z powagą piastowską obchodzi się ten moment, gdy „z dziewczyny staje się kobęta“, gdy młodzieniec za zgodą starszych ojców i matek zakłada nowe rodzinne gniazdo. Zaczyna się to na scenie od zalotów i szeptów miłosnych w leśnej ustroni, od nieśmiałych zabiegów i wypytów, po których następują układy rodzinne i uroczystości przedślubne i poślubne, według uświęconego wiekiem ceremoniału.

Pod umiejętną dyrekcją p. Tadeusza Skarżyńskiego na scenie sprawia całość wrażeń serdeczne i bardzo sympatyczne. Jest to impreza poważna i solidna, ma własne skromne dekoracje i doskonałe, pełne charakteru kostiumy, wykończone we wszystkich szczegółach. Znac tu starannie wystudjowaną stronę obyczajową, artyści odtwarzają wiernie wszystkie właściwości kurpiowskiego dialektu, w którym przed każdym i musi brzmieć *s*, a zamiast nosówki *e*, słychać trzecią staropolską nosówkę *an*, zetraconą w języku literackim. Artyści grają żywo, naturalnie, ze szczerością i prostotą, nie siląc się na efekty teatralne. Panna młoda, w stanowczych chwilach, padając do nóg rodzicom i żegnając się z druhami, zawodzi ucieszenie płaczem, pomieszanym z radością. Wszyscy poruszają się z animuszem, tańczą, śpiewają i bawią się sami doskonale no scenie, jednym słowem, całość pełna ruchu, tańców, przytupywań, wesółych piosenek i okrzyków, jest prześlicznym obrazem życia ludowego. Widowisko, jako skupienie i odtworzenie staropolskiej kultury ludowej, zasługuje na poparcie naszych władz i czynników miarodajnych, jako czyn rodzimiej propagandy, który może i powinien być serdecznie powitany we wszystkich zakątkach naszej Rzeczypospolitej.

Józef Kotarbiński.

WIKTOR RYDBERG.

TŁOM. ZE SZWEDZKIEGO T. SKÓRZEWSKA

RZYMSKIE OPOWIEŚCI O APOSTOŁACH PIOTRZE I PAWLE.

## WNIEBOWSTĄPIENIE SYMONA CUDOTWÓRCY.

Ten tak wyczekiwany dzień nadszedł wreszcie. Senat i trybunały zawiesiły swe czynności, kramy i warsztaty się wyludniły, obóz pretorjanów opustoszał — za ledwie kilku żołnierzy pozostało na warcie zlorzczać losowi, że nie mogą uczestniczyć w wielkiej uroczystości dnia. Ćwiczenia gimnastyczne i wojskowe na polu Marsowem ustały, ciasno zbudowane awentyńskie wzgórce były dnia tego równie puste i ciche jak i Suburra, wszystko bowiem co żyło, pośpieszyło na pola, skąd można było widzieć, jak Symon mędrzec będzie wlatywał do nieba.

Targ rzymski, świętą drogę, kolumnady pobliskich świątyń i bazylik zaległa jedna zwarta masa ludzka. Wszystkie wieże, dachy, wyloty i okna eskwilińskiego wzgórza oblepione były widzami, wyglądającymi zdaleka jak roje pszczoł odpoczywających w locie. W pozawieszanych kobercami niszach budowli pałatyńskiego cesarskiego dworca siedziały rzymskie matrony znakomych rodów w świetnych strojach, rozmawiające z ożywieniem o ubóstwianym przez nie Symonie i z niecierpliwością oczekujące chwili, w której ten miał dać najwyższy dowód swojej potęgi.



Wysoko, na dumnym ze swoich świątyń Kapitolu, skąd widok ponad tą ciżbą ludzką był na wszystkie strony otwarty, widać było cesarza w otoczeniu dworu. Po obydwóch stronach wspaniałego namiotu cesarskiego stały marmurowe siedzenia dla konsulów, senatorów i rycerzy.

U stóp cesarskiej pary siedziała Helena w stroju bogini zwycięstwa. Miała ona bowiem, gdy Symon po szczęśliwie odbytej wyprawie do nieba powróci na ziemię, przyjąwszy z rąk Nerona złoty wieniec zwycięstwa, uwieńczyć nim triumfatora.

Wewnątrz świątyń zebrani byli kapłani w białych, uroczystych szatach, zewnątrz zaś, u ich stopni, stały ustrojona w wieńce gromadki, strzegące ofiarnych zwierząt w świętych przepaskach.

Wszystkie wróżby na ten dzień zapowiadały się szczęśliwie z wyjątkiem jednej, którą zresztą starano się także wyłożyć pomyślnie. Jak przebąkiwano z cicha, był to jeden oltarz, znajdujący się w pobliżu celi Jowisza kapitolńskiego. Kiedy dnia tego rano składano na nim ofiarę, dym jej wzbiwszy się gwałtownie ku górze, skłębił się naraz w chmurę, która dotychczas jeszcze wisiała w powietrzu jak czarna plama na zupełnie czystym niebie.

Z oltarzem tym związana była legenda, którą księża i mnisi kościoła Maria in ara coeli po dziś dzień jeszcze opowiadają. Senat rzymski, mianowicie, zamierzał uczcić cesarza Augusta mianem boga. Miano mu wznieść świątynię i ustanowić przy niej oddzielnych kapłanów. Cesarz August, mąż, którego wielkość i powodzenie nie napawały pychą, zawahał się z przyjęciem tak wielkiego hołdu. Kazał więc przywołać tyburtyńską sybillę, aby zasięgnąć jej rady. Sybilla przysłała, utkwiała w cesarzu mętne spojrzenie i wymówiwszy kilka zaledwie zrozumiałych słów odeszła. Te same słowa zostały w tej chwili podszeptane w jasnowidzeniu ducha Wingiliuszowi, gdy pisał w Neapolu czwarty eklog swoich Bukolik. Była w nich zapowiedź, iż nie z ziemi, ale z nieba zstąpi Bóg nowego porządku świata. Zaledwie sybilla odeszła, gdy oto sklepienia niebios się otwarły i cesarz August ujrzał Najświętszą Pannę z Dzieciątkiem Jezus na ręku spływającą w świetlanym obłoku na ziemię. Cesarz nie przyjął miana boga, a w miejscu, gdzie miał widzenie, kazał wznieść oltarz, nazwany ara coeli, oltarz niebieski.

Na najwyższym szczycie Kapitolu, w miejscu gdzie, jak przypuszczają, stała świątynia Jowisza kapitolńskiego, wznosi się teraz kościół Maria in ara coeli. W jednej z jego kaplic znajduje się stary, być może z czwartego stulecia pochodzący oltarz, w którym ta legenda jest odtworzona.

Apostołowie Piotr i Paweł oraz Marcjalis, stosownie do tego, jak postanowili, znaleźli się także na targu rzymskim. Obrali oni sobie miejsce obok świątyni Dio-

skurów, skąd co prawda mało co można było zobaczyć, gdyż boczna ściana bazyliki juljańskiej zasłaniała widok na Kapitol, ale gdzie było prawie pusto i gdzie mieli dość miejsca do klęczenia i modlitwy.

Dnia poprzedniego udali się apostołowie do Symona, starając się go nakłonić, aby zaniechał swego niecznego zamiaru. Symon, który ich przyjął jak senator swoich niewolników, wysłuchał ich z niecierpliwością, wyrzucił im, że odwracają wiarę ludu od niego, prawdziwego proroka, grożąc im gniewem cesarskim w razie, gdyby się jeszcze kiedy ośmielili pokazać mu na oczy lub wyrzec choć słowo na jego niekorzyść.

Symon zwleka, lud zaczyna dawać oznaki zniecierpliwienia. Weseli z pośród widzów dowcipkują, tłumacząc opóźnienie to tem, że orzeł Jowiszowy, który miał zamieść nowego Ganimeda w obłoki wymówił służbę, to znów, że wóz, którym miał jechać nie jest jeszcze gotowy, bo chmurka przeznaczona na obręcz rozleciała się przy wyginaniu.

Ale nagle szemrania i żarty milkną. Nad tłumem przelatuje szmer i okrzyki: O tam, tam! : następuje pełna naprężonego oczekiwania cisza.

Apostołowie mogą się z tego domyślić, że lud oczekiwał się wreszcie cudotwórcy. I rzeczywiście Symon magus ukazał się na szczycie Kapitolu. Jakby tem bardziej robiąc prawom przyrody na przekór, przybył ubrany w powłóczysty płaszcz w ciężkich fałdach spływający na ziemię, wyszyty złotem i srebrem, usiany perłami wschodu. Promienie słońca załamywały się w nim we wszystkie barwy tęczy, a długi tren jego nieśli z jednej strony kapłani Izdydy, zaś z drugiej kapłani Mitry zdaleka dający się rozpoznać po swych frygijskich czapkach i długich brodach.

Symon podchodzi do tronu cesarskiego i padając na kolana donośnym głosem oświadcza, że cudu tego zamierza dokonać nie dla własnego pożytku i chwały, ani też po to, aby dać zebranim niebywałe widowisko, lecz żeby Rzym wybawić od fałszywych proroków, chrześcijan, którzy przysięgli miastu i potędze rzymskiej zgubę. Przeciwno nim czynem swoim zamierza on świadczyć.

Na dany przez cesarza znak podnosi się z klęczek, całuje w rękę cesarzową i Helenę, pochyła głowę przed senatem i rycerstwem, poczem miarowym, uroczystym krokiem przybliży się do zrębu kapitolńskiej skały, gdzie przepaść otwiera się nad forum. Tu się zatrzymuje.

Szmer, którym go powitano, umilkł i wśród ciszy ogarnia on wzrokiem ten tak pamiętny rynek, eskwilińskie i palatyńskie wzgórze, nieprzeliczone zastępy rzymskiego ludu, tego władcy świata, który teraz na widok jak wielka jest jego cudotwórcza siła, w prochu gotów się przed nim korzyć. On widzi już, zda się, dzień, kiedy kolumny tych świątyń otaczać będą jego posągi i ku jego czci będą płonąć kadzidla na tych oltarzach. Na tę



myśl w oczach mu błyska ogień dumny, a pycha rozpie-  
ra mu pierś.

Lecz czas już rozpocząć. Symon szepcze zaklęcia  
i staje na samym skraju przepaści. Wyciąga najpierw  
prawą nogę, jakby sprawdzając, czy znajdzie dla niej  
należyte oparcie.

Cesarz zaciekawiony podnosi się z tronu, lud zaś  
czeka w milczeniu i z zapartym tchem. Naraz stutysięcz-  
ny okrzyk wzbija się ku niebu. Piotr i Paweł nie widzą,  
co się dzieje, ale rozróżniają oderwane wykrzykniki:  
„Już nie stoi na skale! Wznosi się!”

Symon rzeczywiście unosił się już w powietrzu,  
znajdował się jednak dopiero na równi ze zrębem skały  
i ukladał fałdy swego długiego, lśniącego płaszcza, któ-  
ry wiatr rozwiewał zlekka.

Sam cesarz nie mógł stłumić okrzyku podziwu. Se-  
natorowie i rycerze pozrywali się z miejsc. Stary Seneka,  
żywo gestykulując rozprawiał z kilkoma greckimi filo-  
zofami, zaproszonymi na tę uroczystość, o możliwych  
przyczynach tego zjawiska. Helleński artysta, pozosta-  
wiwszy wszelkie dociekania na stronie, wyjął rylce sta-  
rając się uchwycić w kilku szybkich linjach ruch Symo-  
na jako wzór do plastycznej kreacji, w której postać nie  
mając widomej podstawy pod nogami unosi się w po-  
wietrzu.

Piotr i Paweł złożyli ręce i uklękli do modlitwy.  
Marcjalis i inni chrześcijanie zasłaniali modlących się  
otoczywszy ich kołem.

Symon, ułożywszy starannie swój płaszcz skinał  
i zaraz z dachu świątyni Jowisza ozwały się flety, puzo-  
ny i cymbały. W chwilę potem dała się słyszeć muzyka  
ze szczytu palatyńskiego i eskwilińskiego wzgórze, ze  
wzgórza Coelis, z wyniosłości Viminalu i Kwirynału,  
z wierzchołka Janinkulus i odległego Watykanu. Rzym  
tonął w powodzi dźwięków, a na ich falach, wolno  
i uroczyście, jak wschodzący księżyc, wznosił się Symon  
ku wyżynom.

Wyglądało to, jakby czyjeś niewidzialne ręce uno-  
siły go przestrzeni, on zaś spoglądał uśmiechnięty na ze-  
brany w dole lud. Słońce iskrzyło się w złotej przepas-  
ce dokoła jego głowy i falujących zwojach jego płaszcza,  
wiatr rozwiewał jego długie loki, a im był wyżej,  
tem powietrze stawało się przejrzystsze, ażeby lud mógł  
dłużej oglądać jego olimpijskie oblicze.

I lud wołał: „Boską ten, zaprawdę, posiada moc,  
a nie ludzką”.

Coraz więcej znikał Symon z przed śledzących go  
oczu. Wreszcie wyglądał już tylko jak mały punkcik w  
błękitach. Neron, pochłonięty dotychczas obserwacją,  
zwrócił się teraz do Heleny i rzekł żartobliwie:

— A co będzie, jeżeli prorok zapomniawszy o obiet-  
nicy danej cesarzowi, pozostanie w Olimpie? Choć nie,  
bo mając do wyboru Hebe i ciebie, Heleno, nie wątpię,  
że powróci na ziemię.

Z początku Symon czuł się zupełnie dobrze i był  
zadowolony ze swej podróży. Płaszcz, który miał na so-  
bie, był oczywiście jedynym z owych czarodziejskich  
płaszczy, a jakich bajki wspominają tak często, taki mia-  
nowicie, jaki Faust pragnął mieć owego wieczoru, gdy  
odbywając z Wagnerem swą pamiętną wędrówkę, śnił,  
że się unosi w wiekuistym blasku wieczornej zorzy.

Sam przez się płaszcz ten nie posiadał żadnej uno-  
szącej siły, a tylko podtrzymywany był przez dwanaście  
siłnych, powietrznych duchów, zniewolonych do tego  
przez magiczne zaklęcia Symona. Spoczywając w płaszc-  
czu jak w najwygodniejszej lektyce, czarownik rozko-  
szował się swą podróżą niewypowiedzianie. Dzie-  
więć wzgórze Rzymu pokrytych skałanami w słońcu  
świątyniami leżało nisko u jego stóp. Wijąca się wstęga  
Tybru lśniła się jak roztopione złoto, przypominając w  
pobliżu Ostji potok wrzącej lawy, wpadający w morze.  
Horyzont rozszerzał się coraz bardziej, zielone równiny  
Lacji malały, usiane żaglami morze rozpostarło swą bez-  
brzeżną dal, góry Sardynji stawały się coraz wyższe,  
gdy z drugiej strony tymczasem we mgłach spowite ur-  
wiska i śnieżne szczyty Apenin zapadały coraz głębiej  
i głębiej.

Symon był oczarowany tym widokiem i upojony  
myślą, że cały ten świat będzie należał do niego, że po-  
kryją go świątynie wzniesione dla niego, że jego sławic  
będą rozbrzmiewające w nich pochwalne pieńia.

Gdy był już tak wysoko, że muzyka z rzymskich  
wzgórze nie dolatywała do jego ucha, powitały go inne,  
wiele piękniejsze tony. Czyżby to był zespół harmonji  
wszechświata? Nie, to ten, co powietrze ma w swej mo-  
cy, wysłał tysiące małych, niewidzialnych duszków, któ-  
re krążąc dokoła wielkiego maga i potrącając struny  
harf eolskich, nuciły słodko: „Wszystko to jest twoje,  
boś ty padł przed naszym mistrzem i oddałeś mu cześć!”  
A tony te, mimo iż stłumione, napelniały przecież prze-  
stworza, wtórowane jakby łagodnym echem, płynącym  
do lodowców Alp, Germanji, odwiecznych borów z pu-  
styń afrykańskich i gór Libji.

Lecz niestety! radość to była krótkotrwała.  
Symon wyrwany z niej został niemiłym spostrzeżeniem,  
że nie spoczywał w płaszczu tak wygodnie jak przed-  
tem. Takiego jak on sybarytę byłoby i na ziemi niemało  
rozdrażniło, gdyby poduszki jego wezgłowia były nie-  
dodó wygodnie ułożone. Tem słuszniej mogło go to te-  
raz drażnić i niepokoić. To płaszcz był za silnie napięty,  
to zupełnie luźno trzepał się w powietrzu i chwilami  
można było posądzać, że trzymające go ręce niebyły  
zbyt pewne siebie. Symon zgromił surowo dwanaście  
powietrznych duchów nakazując im lepiej wypełniać  
swoje obowiązki. Odpowiedziały one z wyraźnym nie-  
kontentowaniem, że służbę pełnią jaknajgorliwiej, ale  
że powietrze jest tu już bardzo rozrzedzone i zmieszane  
z atmosferą innych ciał niebieskich. Uplynęła jeszcze



chwila i Symon zauważył, że wznosi coraz wolniej. Rozgniewany spytał demony, czy nie boją się czasem bliskości nieba, poczem zagroził im, że zamknie je za karę w tysiąc lat w swem pierścieniu, jeżeli będą szczeni swych niestrudzonych sil. Na te groźby duchy wszystkie razem zaczęły się uskarżać, że w ramionach i szponach uczuwają coś niewytłomaczonego, czego nigdy przedtem nie doświadczały, a z ziemi dolatują do nich ciągle jakieś dwa glosy przejmujące je dreszczem. Na forum, mówiły, klęczy dwóch ludzi, być może, że są to ich glosy.

Usłyszawszy to Symon przeląkł się. Przyszli mu na myśl Piotr i Paweł. Jak pohopny był przedtem do wyprawy do Olimpu, tak śpieszyło mu się teraz z powrotem na ziemię, zanim siły demonom nie wymówią posłuszeństwa.

Ale też to była okropna jazda na dół! Co chwila to jeden, to drugi koniec płaszcza wymykał się demonom z rąk i trzepotał się w powietrzu jak żagiel zerwany burzą. Symon chwycił się obydwoma rękami za wyżej położone końce płaszcza mrózyl oczy, żeby nie widzieć ziejącej pod nim głębi i drżącymi ustami szeptał najstraszliwsze zaklęcia, jakie śmiertelnik jest w stanie wymówić nie obróciwszy się w popiół na miejscu, w przerwach zaś groził demonom najcięższymi karami.

Demony znowu narzekały, że siły je coraz bardziej opuszczają. Gdy ręce im słabły chwyciły końce płaszcza zębami, pomagając sobie nawet swemi rozdwojonemi kopytami. Trzeba im oddać sprawiedliwość, że były w pełnieniu służby jak najgorliwsze, lecz któż może zdziałać więcej, niż leży w jego mocy?

Położenie było rozpaczliwe. Byli od ziemi tak jeszcze oddaleni, że nie można było uchwycić ani jednego dźwięku muzyki na rzymskich wzgórzach.

Ale naraz nadleciał z wielkim szumem skrzydeł stary smok, zapaśnik Michała Archaniola. — „Odważy!” zawołał on do Symona i wściekłymi uderzeniami bicia zaczął okładać demony, ażeby je rozgrzać i przywrócić giętkość ich sztywniejącym palcom.

Nareszcie dosłyszał leżący z zamrużonemi oczami Symon odgłos puzonów i cymbałów. Jeszcze kilka se-

kund a doszedł do niego także i gwar stu tysięcy tłumy, przypominający szum dalekiego wodospadu.

— Jeszcze chwila, a jestem ocalony! Jeszcze chwila, a stanę przed cesarzem mówiąc, że przynoszę mu pozdrowienie olimpijskich bogów. Jeszcze tylko chwila, a zwyciężyłem!

Tak myślał on. Ale w tej właśnie ostatniej, rozstrzygającej chwili Piotr i Paweł, przedarłszy się przez tłumy na forum, zawołali donośnym głosem:

— O Panie, Panie! pokaż, że jego czary są bezsilne, ażeby ten lud nie pozostawał w błędzie! I daj, aby fałszywy prorok przeżył swój upadek i uznał, że został zwyciężony!

Zaledwie Apostołowie wymówili ostatnie słowa tej modlitwy, gdy demony wypuściwszy czarodziejski płaszcz z rąk, co tchu rozbiegły się we wszystkie strony, jedne rozszoszczone, inne skonfundowane lub zadowolone z cudzej szkody.

Symon był już tylko kilka sążni nad ziemią. Z pogruchotanemi kośćmi, zemdlony i broczący krwią leżał teraz u stóp tronu Nerona.

Helena zniknęła w tej samej chwili bez śladu. Tylko jej przepaskę z włosów znaleziono potem w miejscu, gdzie siedziała. Niektórzy jednak utrzymywali, że widzieli pelzającą po ramionach Nerona małą żmijkę, która okręciwszy się dokola djademu skryła się w jego lokach.

Główny wątek tej starej opowieści o Symonie cudotwórcy i jego wzniesieniu się do nieba spotyka się już u Hegessipusa, chrześcijańskiego pisarza z drugiego wieku. Utrzymuje on nawet, że Symon po swym upadku odwieziony został do miasta Aryji w górach Albańskich, gdzie wyzionął ducha.

Sztuka kościelna z ogromnem upodobaniem obierała sobie wniebowstąpienie Symona za temat. Kapitol i forum, ich bogata architektura, Neron i przepych jego dworu, Heleny straszliwa piękność, Apostołowie modlący się pośrodku rojącego się od tłumów forum, — wszystko to było wielce pojętne dla malarza, choć i niepozabawione pewnych trudności, szczególnie gdy chodziło o nadanie obrazowi odpowiedniej powagi, gdy jednocześnie dominującą grupą musiał być przecież spadający z nieba Symon.

## O KULTURĘ DUCHA W WYCHOWANIU.

Od kilku lat prasa polska pracuje z coraz większym oddaniem nad podniesieniem poziomu rodzin polskich, ich unarodowieniem i umoralnieniem. I słusznie całkiem, bo każdy z nas wie, że chcąc mieć zdrowy naród, musimy mieć przede wszystkim zdrowe moralnie, prawdziwie po chrześcijańsku myślące rodziny. Nie chodzi dziś już tylko o to, żeby przeciwdziałać rozwodom itp. anormalnym faktom, ale o rozwinięcie w rodzinach naszych polskich prawdziwie chrześcijańskiego, katolickiego ducha, opartego nie na czcnych frazesach i ze-

wnętrznym tylko kulcie religijnym, ale na głęboko pojętych i przyswojonych zasadach katolickich.

Dzisiejszej młodzieży, której charakter i poglądy mają stanowić o jutrze Ojczyzny naszej, brak przede wszystkim znajomości wiary w zastosowaniu do życia, czyli innymi słowy brak znajomości chrześcijańskiej filozofji życia.

Młodzież bierze życie za płytko, zupełnie powierzchownie, myśląc jedynie o dniu dzisiejszym, a nie troszcząc się wcale o jutro.



Rodzice i wychowawcy starają się usuwać wszelkie przykrości z przed dorastającą dźiatwy i młodzieży, nie przypuszczając nawet wcale, że tym systemem szkodzą młodym, niezahartowanym duszom.

Szkoła i świat dają dziś młodzieży tylko wyrobienie fizyczne — przedewszystkiem, a potem umysłowe; o kulturze ducha niema tam mowy. Więc któż ma właściwie uczyć młodzież żyć? Kto ma ją pouczać, że dzisiejszy kult ciała, a co za tem idzie i troska o jaknajlepszy rozwój sił fizycznych, powinny iść równolegle z rozwojem serca, umysłu i woli?

Kto ma przypomnieć, że przy ćwiczeniach fizycznych, przy t. zw. treningach nie należy zapominać o dekalogu, że te zabawy fizyczne, nie zawierające w sobie nic zdrożnego, mogą jednak do grzechu prowadzić?

Rodzina — i tylko rodzina.

W niej powinien czerpać młody chłopak, czy młoda panna to światło, którego świat szeroki nie da, to zrozumienie należyte i ocenę każdej zewnętrznej czynności.

Nie potrzebuję tu, jak sądzę, sięgać do cytatów z Pisma św., ażeby katolickich czytelników przekonać, że zasada Chrystusowa o oddaniu nietylko cesarskiego cesarzowi, ale i Boskiego — Bogu spełnioną być winna w każdej rodzinie. Przez oddanie Boskiego — Bogu nie należy, zdaniem mojem, rozumieć tylko tego, co powszechnie bywa pod ten cytat podszywane, to zn., że mamy modlić się, uczęszczać na Mszę św. itd, ale także, że mamy Bogu oddać wszystko, co w nas jest Bożego: nasz rozum, serce i wolę, a z tem razem i życie i zdrowie, które Bogu jedynie zawdzięczamy.

Takie pojmowanie służby Bogu należnej nie wymaga bynajmniej odosobnienia od świata, lub poświęcenia się służbie Bożej. Tak żyć może i musi każdy chrześcijanin, który poznał i pojął zasady swej wiary.

Młodzież żyć jeszcze nie umie. Od dziecka do późnego nieraz wieku uczy się ona tej sztuki — powiedzmy szczerze — najtrudniejszej. Bo cóż jest trudniejszego, po ludzku biorąc, jak życie dobrze przeżyć, a cóż łatwiejszego, jak życie zmarnować, a przez to dla wieczności stracić.

Dlatego też, zdaje mi się, staje się rzeczą nieodzowną, ażeby wraz z postępem pracy w kierunku rozwoju fizycznego szedł postęp i to znaczny w kierunku kultury ducha.

Szkoła tego dzieciom dać nie zdoła, to są rzeczy zbyt głębokie i subtelne zarazem, a także i indywidualne, ażeby można było im specjalnie w szkole czas poświęcić. Przy nauce moralności, przy etyce da się to lub owo poruszyć, ale praktyczne zastosowanie religii w życiu, da się przeprowadzić jedynie w domu rodzinnym, przy ciągłym obcowaniu. I dlatego do rodzin polskich, a przedewszystkiem do matek katolickich zwracam się dziś z gorącą prośbą: uczcie dzieci wasze poznawać Boga w życiu, kochać Go w Jego dziełach i żyć dla Niego i z myślą o Nim od wczesnej młodości. Wlewajcie w młode i wrażliwe dusze dziecinne ducha prawdziwie katolickiego!

Wiara nasza jest tak głęboka, tak jasna, a Bóg nasz poznany tak dobry, że dzieci, tem od młodości karmione, nie będą życia zbyt lekko pojmowały. Będą one szukały zawsze swoich obowiązków przedewszystkiem, a tem samem wyrosną na jednostki prawdziwie wartościowe, które swą pracą podniosą i wzbogacą naród cały.

Religia katolicka znajduje wytłomaczenie na każdy fakt, który nas w życiu spotyka, czy będzie on radosny, czy smutny. A czy to już nie jest bardzo dużo, jeżeli w

ciernistej zazwyczaj drodze życia, nie natknemy się na to dręczące pytanie: czemu?

Dzieci mają też już od wczesnej młodości swoje małe radości i smutki. Z nich trzeba korzystać, to najlepsza nauka filozofji życia. Czujna matka nie powinna prześlepieć żadnej okazji, ażeby ten czy ów fakt oświecił dziecku w świetle wiary, przefilozofować go z nim o kulturę ducha 2

Rodzina Polska zS i nauczyć, jak się ma na tego rodzaju wypadki życiowe zapatrywać.

Jedna nauka jednakże nie wystarczy, trzeba z dzieckiem swem „żyć“, żeby je wychować, a więc i radosne i smutne chwile zawsze z niem przeżywać, zawsze je mądrze pouczając.

W ten sposób nauczymy dzieci nasze rozumieć życie i szukać w niem przejawów najlepszego naszego Stwórcy. Nauczmy też, że religja, to nietylko jeden z wykładanych w szkole przedmiotów, ale że religja, to życie całe z Bogiem i dla Boga.

Wtedy też to zdanie, które zwykliśmy tak często powtarzać małym dziatkom, że „Bozia wszystko widzi“, stanie się faktem przyswojonym w naszych dorastających dzieciach.

Zrozumienie od młodości istoty i wartości życia, patrzenie na nie jako na coś przejściowego, po czem się dopiero zacznie prawdziwe życie, uchroni całe zastępy młodych dusz od zwątpienia i rozpaczki w chwilach cierpienia. A dziś, niestety, widzimy coraz więcej tej młodzieży, targającej się nawet na własne życie w przystępie pierwszego większego moralnego bólu.

Z końcem roku szkolnego czyta się w dziennikach rok rocznie o coraz to częstszych wypadkach samobójstw z powodu miedzanych egzaminów. Jakaż tego przyczyna? Oto młode te istoty nie miały należytej wiary, nie wpojono w nie, że przykrości, upokorzenia, kary itp. znieść musimy spokojnie, skoro je Bóg na nas zsyła. Niezdanie końcowego egzaminu, jest najczęściej skutkiem lenistwa, a więc słuszną karą, którą przyjąć musimy z pokorą. W wyjątkowych całkiem wypadkach możemy tu mieć do czynienia z ludzką niesprawiedliwością, ale i wtedy, po chrześcijańsku rzecz biorąc, znieść musimy ten krzyżyk.

Może się wyda niejednej matce dziwnem, że mówię tyle o przyuczaniu dziecka do rozumnego cierpienia. Może też niejedna powie, że nie należy dziecku odbierać radości życia przez zbytnie mędrkowanie i filozofowanie z niem. Otóż odpowiem na to z własnego, matczynego doświadczenia, że dzieci, nawet już 7 — 8-letnie, rozumieją z łatwością istotę cierpienia i gotowe są zasady chrześcijańskie zastosować już w tak młodym nawet wieku w życiu, ale one biorą wszystko znacznie płycej i równie prędko w chwili najmniejszej radości zapominają o smutku. Z drugiej zaś strony umiejętność przyjmowania ich malutkiego cierpienia sprawia, że znacznie szybciej od dorosłego przechodzą nad niem do porządku dziennego.

Tak, że w żadnym wypadku na własnych dzieciach nie zauważyłam szkodliwości wpajania wczesnego zasad filozofji życia. Przeciwnie, zupełnie szczerze powie dzieć mogą, że właśnie te dzieci odznaczają się wyjątkową pogodą ducha i beztronską radością życia.

Do zrobienia w odrodzonej Ojczyźnie jest jeszcze bardzo dużo, dlatego nie wolno się nikomu odsuwać od pracy, a już szczególnie żadnej matce. Niech każda matka-Polka wychowa jednego syna lub córkę na wernego naśladowcę Chrystusa, a za lat kilkanaście stanie się Polska nasza przedmurzem chrześcijaństwa.

Dr. E. Estreicherowa.



# DOSYT I GŁÓD.

Toć jest przykazanie moje: abyście się społecznie miłowali.

Sw. Jan. XV. 12.

Coraz większe postępy komunizmu w Polsce zaczęły trwożyć sumienia. Nad dotychczasowymi objawami pracy wyrotowej przechodzą łatwo do porządku dziennego: nie nadawano im większej wagi; Co więcej, z zupełną nieświadomością wchłaniano wszystkie miazmaty, rozsiewane przez nieuważną prasę, przez lewicowe publikacje, przez wroga propagandę, na którą nikt nie nakłada hamulca.

Objawem zaniepokojenia, wywołanego przez wejście komunistów do sejmu jest świeżo dokonana konsolidacja licznych organizacji polskich, które postawiły sobie za cel walkę z komunizmem.

Jest to choroba społeczna, którą należy brać z dwóch stron: jako zarazę moralną i jako ruch, rozwijający się na podłożu przyczyn ekonomicznych. Najpodatniejsi na agitację komunistyczną są robotnicy najgorzej uposażeni. Szerzy się on straszliwie wśród bezdomnych i bezrobotnych. Związek robotników budowlanych, pracujących sezonowo jest opanowany przez komunistów. Komunizm szerzy się w fabrykach, gdzie różne komisje tak powoli odbierają obstalunki rządowe, że przez to zatrzymują wypłaty fabrykom, a tem samem — wypłaty robotnikom.

Na wzmiankę o fermentie wyrotowym w kraju większość dobrych obywateli odpowiada: — Rozbudujcie przemysł w kraju, a komunizm zniknie sam przez się.

Dupzo w tem jest racji, ale gdyby to była zupełna racja, toby komunizm nie powinno być w Ameryce, w tym kraju milionowego przemysłu, a tym czasem nie brak go i tam.

Ferment wyrotowy jest wszędzie, gdzie istnieją przeciwności bogactwa i nędzy. Im silniejsze są te przeciwności, tem podatniejszy jest grunt do rewolucji.

Atak mas i samoobrona kapitału nie jest katolickim rozwiązaniem kwestji. Katolickim rozwiązaniem kwestji sytości i głodu jest rozwinięcie takiej pomocy braterskiej, czyli mówiąc terminami powściągliwszemi takiej działalności charytatywnej przez warstwy posiadające, żeby nie było w społeczeństwie zupełnie nędzarzy, gotowych do przewrotu, gdyż nie mających nic do stracenia.

Znawca nienasyconej i złej natury ludzkiej może na to odpowiedzieć, że nawet zapewnienie względnego dobrobytu i zupełne zabezpieczenie warstw pracujących nie wytepi w nich zawiści. Że zawsze ten, kto ma mniej (choćby to „mniej“ było znośnym dobrobytem), zapagnie wyciągnąć rękę pow ięcej.

Wszystko to prawda, ale spóbuśmy stanąć na stanowisku bardzo optymistycznym. Nie abawiamy się hasła bardzo idealistycznych, nie obawiamy się zarzutów nierealności. Postarajmy się uświadomić sobie, że wszelkie hasła idealistyczne, wszczepiane w psychikę ludzką, staje się realną siłą, wywierającą nacisk na stosunki ludzkie i urabiającą je odpowiednio.

Otóż szerząca się coraz silniej ideologia katolicko-społeczna musi z konieczności osłabić chciwość i zmaterjalizowanie warstw pracowniczych, ale jednocześnie — również zaborczość i skąpstwo warstw posiadających. W miarę udzielenia się dusz niemożliwością się stanie dla człowieka wie-

rzącego używać darów bożych lub nawet owoców dobrze rentującej się pracy w zupełnym spokoju, gdy tuż obok jest brat głodny i cierpiący.

Claudel w swoich przepięknych listach do konwertyty Riviere'a podkreśla głębokie znaczenie działalności charytatywnej dla uczynienia w nas wiary źródłem żywym i wiecznie bijącym. Istotnie, każdy czyn dla cierpiącego spełniony jako ofiara serca nieskończenie podwyższa człowieka.

Kto wszedł w atmosferę czynów miłości, ten doznaje wrażenia, że wyszedł ze straszliwej cieśni na jasne przezwory. Kto miłością żyje i oddycha, ten dopiero odczuwa pełnię życia. bo swoje „ja“ w bezgranicznie rozszerza.

Po tych aforyzmach nazbyt egzaltowanych wróćmy na grunt tak niepewny i nieobliczalny, jakim jest t. zw. rzeczywistość, uznawana za kamienną opokę. A jednak — ileż razy zawiodły najcięższe rachuby, najbardziej naukowe opracowania, najściślejsze reasumowanie faktów i wyciąganie z nich wniosków! Zawiodły zawsze, ilekroć w materialny bieg zjawisk wplątał się czynnik nie dający się zważyć i zmierzyć, czynnik niuchwytny a najpotężniejszy — duchowy.

Otóż wracamy do rzeczywistości i przemawiamy tak zrozumiały dla większości językiem interesu materialnego. Teren Europy jest podminowany — złe siły ryją i ryć nie przestaną, znajdując podatny materiał w ludziach cierpiących. Czy nie jest najbliższym interesem warstw posiadających uczyni! zadowolony tych ludzi cierpiących? Czy nakarmienie i ucieszenie ich nie jest mniejszą ofiarą i ryzykiem, niż bezczynne prowokowanie przyszłości, która może przynieść krwawą rewolucję, zupełną ruinę i nawet śmierć?

Gdyby wszyscy ludzie syci w Polsce zechcieli się tem zająć, w parę dni nie byłoby wcale głodnych.

Obudźcie sumienia! Piękna pani, wkładająca strój kosztowny, bogaty przemysłowiec, handlowiec lub ziemianin, kupujący przedmioty zbytku lub rozrzutnej rozrywki niech pomyśli: W tej chwili gdzieś tam, w zatraconych zaułkach, w czarnej ruderze cierpi brat mój głodny, wśród tej nieogarnionej pustyni ludnego miasta!

Nie jest przyjemnataka mowa. Wiem dobrze o tem. Nie rozlega się ona ani z partji, ani ze szpałt prasy, które schlebają egoizmom i niższym instynktom członków i czytelników — aby interes szedł!

Nie jest przyjemnatakamowa — i nie usłyszysz jej nigdzie, chyba w tym jasnym kręgu, który opasuje wszystkich wyznawców Kościoła.

Jakie formy ma przyjąć wzmoczona czynność charytatywna, rozciągnięta na cały naród, mająca na celu w pierwszej linii — spełnienie przykazań Chrystusowych, w drugiej — zapobieżenie krwawemu potopowi świata? Chodzi nie tylko o rozdawnictwo dóbr bez kompensaty — chodzi przede wszystkim o wielkie ofiary, o olbrzymie ofiary dla stworzenia choćby na razie mniejszych warsztatów pracy — choćby warsztatów nie rentujących dostatecznie w tej chwili.

Jest to dobra lokata kapitału — bo jest to wpłata na ubezpieczenie od katastrofy dziejowej. A jednocześnie co dla człowieka wierzącego najważniejsze — jest to zasługa.

Jest to początek spełnienia snu, zaiste zbyt pięknego, by go poczęła myśl człowieka — snu przywianego zgóry: O królestwie Bożem na ziemi.

Anna Zehorska.





Nie stoimy na jakimkolwiek podwórku ciasnych, partyjnych, aspiracyj; pismo nasze, płynąc na falach czasu, w którym pokoleniu naszemu przypadło żyć, w czasach brzemiennych w wypadki, pragnie stać zawsze na platformie obiektywizmu, mając na uwadze tylko polską rację stanu, a kierując się, w ocenie faktów, wzniesłemi zasadami katolicyzmu.

#

Patrząc na wypadki ubiegłego miesiąca w Polsce, musimy przyznać raczej temu, kto zauważył, że polskie „ogórki“ 1928 roku, nie są bynajmniej tak „ogórkowe“. Mimo zamknięcia sesji sejmowej, po uchwaleńiu budżetu, mimo licznych rozjazdów na wywczas, praca w naszej machinie państwowej nie straciła nic na swojej sile i tempie, a wypadki ostatnich czasów świadczą o tem wymownie. Nie można powiedzieć, by ludzie, kierujący naszą nawą państwową — w letniej porze — oddawali się bez trosce, jakiemuś dolce far niente!

Czytamy o ustawicznych podróżach prezydenta Mościckiego po całym kraju, podróżach, świadczących, że ten pierwszy obywatel w Państwie rozumie konieczność bezpośredniego kontaktu ludności z tym, który dziś reprezentuje majestat naszej władzy. Ale, wśród tych zwyczajnych obowiązków państwowego aparatu, ubiegły miesiąc przyniósł nam kilka momentów o doniosłym znaczeniu.

Niespodziewanie dokonana „rekonstrukcja“ gabinetu, nie świadczy, by kierunek polityki naszego rządu miał ulec zmianie. Pomimo, że marszałek Piłsudski nie stoi na czele gabinetu, w nim pozostał, jako minister wojny i nadal wywierać będzie wpływ na bieg polityki państwowej. Dzisiejszy zaś premier, p. Bartel, jest jednym z tych ludzi, którzy — od dwóch przeszło lat — stoi najbliżej Piłsudskiego, który, w swoich poczynaniach jest zawsze z nim najzupelniej zgodny. Drobne zmiany w składzie gabinetu, uczynione zostały raczej ze względów

technicznej natury, dla usprawnienia administracji państwem..

Prawdziwą sensacją dnia była enuncjacja marszałka Piłsudskiego. Nie zapuszczając się w labirynt fantastycznych plotek, dziennikarskich „kaczek“ i najrozmaitszych wersyj, skwapliwie notowanych przez prasę codzienną i oświetlanych reflektorami partyjnych sympatyj, czy animozyj, musimy stwierdzić, że najbliższe czasy wypadków politycznych w Polsce, będą brzemienne w swoich skutkach. Od nich zależy będzie dalsze kształtowanie się naszych dziejów.

Praca nad zmianą konstytucji, zdaje się być dziś sprawą najaktualniejszą i ona to będzie ewenement najbliższych miesięcy. W jakim ona pójdzie kierunku, w jaki sposób będzie załatwiona — przyszłość pokaże, domysły zostawmy prasie codziennej, żadnej sensacji. Naszym pragnieniem jest jedno, by „naprawa“ naszej ustawy konstytucyjnej, mającej być kontynuatką wielkich wskazań twórców wiekopomnej konstytucji 3-go maja, a dostosowana do warunków chwili obecnej, uwzględniła tradycje i charakter nasz narodowy, a opartą została na wkerzenionych w polskiego ducha, zasadach katolicyzmu.

W tej pracy twórczej, wymagającej skupienia i zastanowienia, powinien brać udział cały naród, ale w zrozumieniu doniosłości swoich zadań, odpowiedzialności wobec Boga i ludzi, wobec przeszłości i przyszłości, winien wyzbyć się wszelkich partyjnych i osobistych niechęci.

Oby różdżka oliwna, symbol pokoju i bratniej zgody, zapanowała wśród nas, jak przez dni kilka skupiała w naszej stolicy przedstawicieli różnych państw na kongresie pokojowym. Polska, która w swojej zagranicznej polityce daje dowody szczerych swych uczuć pokojowych, miała jeszcze jedną okazję, u siebie teraz, dać dowód, jak zależy jej na spełnianiu misji pacyfistycznej w Europie i świecie.



Nowy rząd z p. premierem Bartlem na czele.



Europa to rozumie i uznaje. Wiądzi, że nasz kierownik spraw zagranicznych, któremu Polska zawdzięcza w wielkiej mierze wzmocnienie naszej pozycji międzynarodowej, czyni wszystko, by enuncjacje swoje o pokojowych nastrojach naszego państwa, poprzeć czynami. Świadczy o tem nasza cierpliwość w pertraktacjach z nieobliczalnym megalomanem, jakim jest Waldemaras, takt w zachowaniu się wobec wschodniego sąsiada, wysyłającego swojego rodzaju i stylu noty dyplomatyczne, czy, wreszcie, pertraktacje (ustawicznie przez drugą stronę zrywane) delegacji polskiej w Berlinie.

Pisząc o tem, co się w ubiegłym miesiącu działo w Polsce, nie można zbyć milczeniem podniosłych manifestacyj religijnych podczas kongresu eucharystycznego we Lwowie, które świadczą wybitnie o tem, że duch katolicyzmu jest w naszym narodzie żywy, że akcja katolicka coraz szersze zatacza kręgi, a wszelkie napaści na religję i Kościół jednostek i ugrupowań radykalnych, znajdując zawsze należyłą odprawę.

Na stanowisko biskupa sufragana metropolji warszawskiej, Ojciec św. powołał ks. profesora Szlagowskiego, rektora wszechnicy warszawskiej i znakomitego kaznodzieję. Popularny i ceniony przez wszystkich, na nowej placówce swojej kapłańskiej pracy, potrafi godnie i z pożytkiem dla archidiecezji spełniać swe szczytne zadanie.

#

W Europie i świecie czyni się wszystko, by jej wybuchowi nowemu stawiać największe przeszkody. Najlepiej o tem świadczy propozycja amerykańska Kelloga, która, mimo zastrzeżeń pewnych, zostanie niebawem przyjętą przez zainteresowane państwa. Rozumieją one dobrze, że Liga Narodów nie potrafi, w danym momencie, swoim autorytetem stać się gwarantką europejskiego pokoju.

W Sowieciech, po procesie „speców“, czynniki rządowe mają nowy kłopot. Zdaje się, pod wpływem kaniuku, która i nam daje się dość we znaki, wprawia w stan anormalny czerwonych władców. Oto wynaleźli istnienie na terenie Rosji jakiejś „Błękitnej Międzynarodówki“, co by nie było rzeczą taką dziwną, gdyby nie wersje, że jest to organizacja masonska, pozostająca w ścisłym kontakcie z lożami angielskimi, Watykanem (!), Radą naczelną faszystów (!), a finansowana przez

Forda, Rocquefellera i rząd angielski. Si non e vero, e bon troavto! Warto więc było dla dodania lepszego humoru czytelnikom, powtórzyć to curiosum. Mogło ono się zrodzić w głowach takich tylko cyników i demagogów, jakimi są kremlinicy władcy.

Po rumuńskich, nieudanych eskapadach zwolenników zagadkowego ks. Karola, przyszła kolej na Jugo-

dawna świat cały mówi i pisze: o katastrofie „Italji“, o generale Nobile i jego towarzyszach, o akcji ratowniczej i względnie szczęśliwym jej wyniku.

Jak przed odlotem italskiego sterowca, tak i obecnie musimy stwierdzić, że gen. Nobile wraz z towarzyszami, załeczeni być muszą i będą w szeregi bohaterskich mężów, co nie wahali się życie własne poświęcić



J. E. Ks. Biskup-Nominat Szlagowski w todzie rektora uniwersytetu.

stawę, gdzie wypadki przybrały tragiczne oblicze, a zarazem nie wpłynęły na uspokojenie umysłów. Kocioł bałkański, jak zawsze, kipiał. Bo i w Grecji do władzy powrócił Venizelos, nadchodzą tam czasy akcji przedwyborczej i może jakiegoś nowego puczu rojalistycznego.

W tym, bardzo powierzchownym, przeglądzie wypadków ostatnich czasów, nie wspominamy dzisiaj o przygotowującej się na wielką skalę walce wyborczej o stanowisko prezydenta w Stanach Zjednoczonych, ale wychodząc poza obręb politycznych zainteresowań, musi się słów kilka napisać o tem, o czem, od tak

dla dobra ludzkości i dla chwały swojej ojczyzny. Jeżeli wyprawa ta się nie udała, czy ich w tem wina? Nie oni pierwsi, którzy do celu nie dotarli!

W zawodach o powietrzne sforsowanie Atlantyku, które tyle już ofiar ludzkich pochłonęły, staje też i Polska. Dwaj dzielni nasi lotnicy, Kubala i Idzikowski, oddawna sposobując się do tego lotu w Francji, powodowani szlachetnym uczuciem patriotyzmu, stają do tych światowych zawodów. Cała Polska myślą jest przy nich i pragnie szczęśliwego zdobycia Atlantyku.

A. R. O.



## NOWOŚCI KSIĘGARSKIE.

**Wanda de Lada. „Czestochowa. La Montagne Lumineuse“. Paris, Spes, 1928**

Poprzedzona pięknymi listami ks. prymasa Hłonda i przeora OO. Paulinów monografia francuska Czestochowy, pióra p. Wandy Ładziny, znalazła należyte i szczerze uznanie episkopatu francuskiego. czego dowodem są listy ks. kardynała Dubois i księży biskupów: Chaptal'a i Baudrillart'a.

Trudno jest w krótkiej notatce szeroko pisać, czy streszczać to, co czytamy w tej książce. Autorka bowiem w interesujący sposób opisuje dzieje nie tylko tej świątyni i cudownego obrazu, ale również zrajdziemy tam historje chrześcijaństwa w Polsce od zamierzonych czasów Mieszka i św. Wojciecha do dn. naszych. W dalszych zaś rozdziałach mówi p. Ładzina o obecnym stanie kościoła czestochowskiego, o pielgrzymkach, cudach, przywilejach, o uroczystościach religijnych i narodowych, by wreszcie naszkicować charakter narodowy i międzynarodowy tego cudownego miejsca, o wzniosłych chwilach wizyty episkopatu francuskiego u stóp Tej, „co Jasnej broni Góry“, czy o wzruszającej uroczystości ofiarowania, przez panie polskie pięknych insygniów votów swojej Królowej, w podzięce za wspaniałą „cud Wisły“ 1920 roku.

Oby słowa ks. kardynała Dubois o tej pracy: „elle mettra en relief la profonde devotion de vos compatriotes et chez elle suscitara a votre chere patrie de nouveaux amis et de nouveaux admirateurs“, były naprawdę zadatkim wzmożenia tych węzłów szczerzej przyjaźni dwóch narodów, które w chwilach chwaly, jak doświadczeń, zawsze oddawały się pod opiekę Królowej nieba i ziemi, Tej, co tak hojnie łaski Swe rozdaje, tam — w Lourdes i u nas — w Czestochowie.

a. o.

**Stanisław Kozicki. „Na Sycylii“. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1928.**

W nowej swojej książce, którą p. Kozicki opublikował, znajdujemy interesującą dysertację o Helladzie i Rzymie, przypominającą nam znakomity dorobek dwóch wielkich potęg starożytności, których spuścizna po dziś dzień wywiera wpływ na kształtowanie się świata we wszystkich jego przejawach. Historia starożytna może dać i dzisiaj wiele cennych rad i wskazówek, bo, jak słusznie powiada Kozicki: „kto chce szukać nauki politycznej, ten niech jej szuka w Rzymie epoki Scypionów... Rzym upadł, lecz nie zginęło jego dzieło... wystarczy pamiętać o tem, co dał Rzym starożytny organizacji Kościoła katolickiego, który

przemawia do swoich wiernych językiem Rzymian, by uświadomić sobie jego rolę dziejową“.

Dobrze zrobił p. Kozicki, że swoje wywczesy na Sycylii, w Castel Mola, czy Taorminie, poświęcił wniknięciu w ducha dziejów starożytności, że barwnie kreśli rolę średniowiecza, by dojść do faszystowskich „różeg liktorskich“.

Warto też dodać, że autor o wybitnej kulturze i wrażliwości na piękno potrafił w barwny sposób nakreślić urok sycylijskiej natury, tworząc harmonijny obraz z pomnikami greckiej i rzymskiej, czy średniowiecznej kultury i sztuki.

a. o.

**H. Skolaster. „W pętach guślarzy“. Warszawa, wyd. Księży Pallotynów, 1928.**

W ostatnich czasach wydawnictwo nasze dało interesującą powieść Skolastera p. t. „W pętach guślarzy“, w do-brem tłumaczeniu Aleksandra Grotta.

Książkę tę czyta się z zainteresowaniem dzięki barwnym obrazom, które w niej znajdujemy.

Ale nietylko ma ona swoją literacką wartość. Godną jest też uwagi dzięki tendencjom o szlachetnych pobudkach: walki Zła (szarlatanerii i guślarstwa pogańskiej kasty ngilów) z Dobrem (wzniosłymi zasadami chrześcijaństwa). To ostatnie zwycięża, gdyż w niem jest prawda i życie.

**Stefan Zambrzuski. „Wiara i miłość“. Powieść. Warszawa, 1928.**

W powieści tej autor, w interesujący sposób na tle urozmaiconej opisanii pięknych krajobrazów i pomników kultury i sztuki Italii kreśli nam potęgę religijnych podstaw w umyśle i duszy człowieka, które, silnie zakorzenione, nie potrafią dopuścić do tych walk duchowych i doświadczeń, jakie przechodzić musi bohaterka tej powieści.

a. r.

**P. S.** — Ostatnio wyszły dwie powieści pióra znanej pisarki, Wandy Grochowskiej: „Dwór i chata“ i „Wójtówna“. Z powodu braku miejsca, omówienie ich odkładamy do przyszłego numeru, dziś ograniczając się tylko do zalecenia czytelnikom naszym ich przeczytanie.

**„Bez Przyłbicy“, czasopismo młodych katolików polskich nr. 1, Lipiec r. c. 1928 (pod red. M. Sobańskiego, Krakowskie Przedmieście 71.**

Miło nam jest poznać się z naszymi czytelnikami wiadomością, że grono naszej katolickiej młodzieży, grupującej się w organizacji „Katolickiej Młodzieży

Narodowej“, podjęło się — w dzisiejszych czasach tak trudnej i niewdzięcznej pracy, jak wydawanie pisma, które ma być odzwierciedleniem ich dążeń, myśli i czynu. Jest ono dowodem, że wzmagać się akcja katolicka w Polsce idzie we właściwym kierunku, skoro na te tory wstępuje zorganizowana młodzież.

Sam tytuł „Bez przyłbicy“ świadczy, że wydawcy i redakcja tego pisma, świadomi celu i wzniosłych haseł, którym służą, z otwartą przyłbicą i podniesionym sztandarem pójdą w świat, by czynem i piórem głosić hasło wielkiego papieża: „odnowić wszystko w Chrystusie!“ Zaczynają od siebie samych, dobrze robią, a że tak jest, dowodem tego jest wspomniane pismo.

Z męską odwagą i młodzieńczym zapałem kreśli program pisma p. St. Brzeziński, dalej czytamy cenne uwagi o potrzebie wiedzy teologicznej, pióra ks. prof. Michalskiego, czy szereg artykułów o wychowaniu, między którymi jest interesujący referat Hieronima Tarnowskiego, wiele ciekawych spostrzeżeń znajdujemy w artykułach ks. prałata Gawliny i Tadeusza Szejnara. Numer uzupełniają krytyki, biuletyn i kronika oraz artykuł p. K. M. Morawskiego.

Młodzieży katolickiej, która podjęła się tej pracy publicystycznej, należy życzyć, by znalazła głośne echo wśród naszej młodzieży, a życzliwe poparcie i otuchę u starszego społeczeństwa.

#### KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCJI.

**Kozicki Stanisław. „Na Sycylii“, Warszawa 1928 (Gebethner i Wolff).**

**Lada Wanda de. „Czestochowa La Montagne Lumineuse. Etude d'union franco-polonaise“. Paris 1928 (Spes).**

**Marion. „Rozbite gniazdo“. Opowieść o szarych ludziach“. Warszawa 1928. (Dom Książki Polskiej).**

**Okolo-Kulak, A. ks. dr. „Kośćól w Rosji dawnej, obecnie i w przyszłości“. Kraków 1928. (OO. Jezuiti).**

**„Smulski Dictionary“ (słownik polsko-angielski i angielsko-polski). Polish American Pub. Co. Chicago Ill., U. S. A., 1516 Tell Place.**

**Pisma: „Bez Przyłbicy“. Organ myśli i czynu młodych katolików polskich. Rok I, nr. 1, Warszawa, lipiec R. P. 1928. (Redaktor: M. Sobański, Krakowskie Przedmieście 71).**

**„Pro fide, rege et lege“. Zeszyt 3. Lipiec 1928. (Redaktor: dr. K. M. Morawski, Warszawa, ul. Mochnackiego nr. 5, tel. 417-35.)**

#### UZUPEŁNIENIA I SPROSTOWANIA do artykułu o zbiorach hr. Edwarda Krasieńskiego.

(por. nr. 7 „Rodziny Polskiej“).

W artykule o przepysznych zbiorach ordynata Edwarda Krasieńskiego zakradło się kilka zasadniczych błędów, które na tem miejscu pragnę sprostować. Korzystając ze sposobności, wspomnę jeszcze o kilku obrazach, które — choćby tylko — wymienić należy.

Wspominany tam (i reprodukowany na str. 196) portret króla Stanisława Augusta jest pendzla Lampiego ojca (nie Bacciarellego), zaś miniatura Isabey'a przedstawia wizerunek Heleny z Lubomirskiej Mniszkowej, nie Krasieńskiej.

Bacciarelli reprezentowany jest, w tych zbiorach por-

tretami marszałka Małachowskiego i biskupa Adama Krasieńskiego.

Wspominany na str. 194 obraz, przedstawiający wnętrze kościoła, jest pendzla Dawida Colynsa z 1690 roku.

Warto wymienić, wreszcie, portrety: Marii Ludwiki Gonzagi, przypisywany Mignier'owi, Stanisława Krasieńskiego, wojewody plockiego, pendzla Van Egmont'a, Anny z Osolińskiej Krasieńskiej, dzieło Marteaux i cały szereg innych. Nie od rzeczy będzie też dodać, że dzieło Winterhaltera, przedstawiające Elizę z Branickich Zygmuntową Krasieńską, zostało nagrodzone, w swoim czasie, złotym medalem salonu paryskiego.

A. O.





## NASZE POPRZEDNICZKI.

Nic o nas — bez nas. Nic o narodzie — bez narodu, mówi kaznodzieja, a więc i bez kobiet, które są tego narodu połową, wobec prawa równą z mężczyzną i na równi dźwigającą odpowiedzialność za wszystko, co się w kraju dzieje.

Kobieta we wszystkich społeczeństwach ma różne, ale wielkie znaczenie. Stąd, co tylko jest związane z jej stanowiskiem, jest wiecznie aktualne, wiecznie zajmujące, ze względów moralnych i ekonomicznych. A zawsze ważne, bo prawie wszędzie stanowimy ową połowę ludności. Dziś, z pochłonięciem przez wojnę milionów mężczyzn, przewyższamy ją cyfrowo.

W miarę zaś nadawania nam równych praw w kodeksie cywilnym, w miarę naszego rozwoju intelektualnego, nabywania wyższego kształcenia i wiedzy zawodowej we wszystkich kierunkach, obejmowania placówek różnorodnych zajęć, dziś więcej, aniżeli kiedykolwiek zwracamy na siebie ogólną uwagę.

Jak rysuje się sylweta naszych poprzedniczek, o których pamięta historia?

Od wieków powtarzający się typ kobiety polskiej pracowitej, sumiennej w pełnieniu podjętych obowiązków, o umyśle jasnym, energii, gdzie trza niezrównanej, a pobożnej bez zastrzeżeń stawiał tę kobietę, nawet w potrzebie sprawy publicznej, bardzo często, na równi z mężczyzną.

Umiłowanie ojczyzny ponad życie skłoniło Wandę „co nie chciała Niemca“, raczej „poledz w grobie, niż wziąć cudzoziemca“.

Tak zwana „racja stanu“ to znaczy interes państwa, kazał pogrzebać Królowej Jadwidze dziewczęce marzenia o szczęściu z ukochanym, a oddać rękę temu, który za cenę jej ręki, podanej mu na życie, cały litewski naród przyprowadzał do stóp Krzyża Chrystusowego, aby odtąd krzepił ducha w szczytnych ideałach miłości bliźniego, tej cnoty — cnót.

A żony Czarnieckich, Zółkiewskich, Chodkiewiczów... Czy, kiedy mężowie harcowali latami na bitew-

nych polach, goniąc od granic polskich wrogie najazdy Turków, Szwedów, Tatarzy i Moskwitów, dumnie ze swych panów hetmańskie dzierżące buławy, w bezczynnie pędziły dni swego żywota?

Czuje, rozumne, choć niekształcone, zajmowały opróżnione chwilowo miejsce męża, pana i gospodarza. Dzieci pilnie strzegły, bo chłopcy to następcy ojców, a dziewczęta to rodzicielki przyszłych pokoleń. Rozległe włości objeżdżały. Liczną czeladź trzymały w karchach, dzieląc z nią radość i wesele, a współczując niedoli. Ale ani na chwilę nie zapominały, że obowiązkiem ich trzymając wszystko w ładzie wewnątrz domu, na zewnątrz baczyć, czy mu co nie grozi i jeśli potrzeba armaty — to armatę prowadzić na szanice, a do progów domostwa nie dopuścić wroga. Tak zwłaszcza robiły kobiety kresowe.

Miały też nietylko szacunek ale i miłość otoczenia. A najwyższą ich zdobyczą moralną, od owej datującą się epoki, jest tytuł „przyjaciela“ jakim mężowie darzą swe małżonki.

Akty Grodzkie, to niewyczerpane źródło dla historii obyczajów polskich, notują, jak np. Jerzy Ossoliński swą małżonkę, z Daniłowiczów, nazywa „przyjacielem od Boga mu danym“. Jak Franciszek Sapięha, żegna w testamencie „najmilszego po Panu Bogu przyjaciela Annę z ks. Lubomirskich“.

Czegóż to jest dowodem?

Niezbitym dowodem jest tego że kobieta polska, będąc dobrą matką, skrzętną gospodynią, potrafiła jednak umysłem sięgnąć wyżej. Myślała gonić czyny męża i wznieść się ponad pieczę nad doczesnym dobrem, rozumiejąc, że są wyższe cele do osiągnięcia na ziemi.

Miano „przyjaciela“ nadane przez męża — to do prawdy ładny dorobek życia, o którego zdobyciu można z równą chlubą zabiegać dziś, jak przed wiekami, nie tracąc nic ani z godności osobistej, ani nie obrażając własnej samodzielności myśli.

Zmieniały się karty historii, zmieniali się ludzie.



Ogólny prąd dążenia do nauki i wiedzy, którego tchnienie wyszło na całą Polskę z rozwoju Akademii Krakowskiej już w XV wieku, dał nam złoty wiek XVI. Ale wśród luźnych imion naszych przewodników myśli polskiej nie mamy nigdzie kobiety, której obyczaj musiał szwankować, bo satyra chłoscze ich wady bezlitośnie.

Kobieta widocznie nie wywierała dobroczynnego wpływu skoro: zdrady, rokosze, swary, Targowica, przerosł ambicji osobistych, interes własny ponad sprawą kraju przekładany, doprowadził Polskę do upadku.

Z połowy XVIII wieku Elżbiety Drużbackiej imię zostaje w dziejach piśmiennictwa naszego. Ale i ona,

śnać wyczuwająca braki i miedomogi kierunku wychowania i wykształcenia kobiet, kreśląc w satyrycznym wierszu blałość pretensyj kobiecych, pisze:

Jeśli dla racji wyżej wyrażonych  
Kochane panie sztukacie rozwodu,  
Nie miejcie za złe, że was, rozpuszczonych  
W swywoli, sądzą: Polskiemu narodowi  
Krzywdę czynicie, z siebie — śmiechy, żarty;  
Honor wasz płacze, że goły, wytarty!

L. Kotarbińska.

## O WŁASNY HANDEL I PRZEMYSŁ.

Za czasów niewoli ideałem rodziców było wychować męźnych synów do walki za niepodległość Polski. Ta myśl przyświecała i prowadziła wszystkich gorliwych patriotów do heroicznych poświęceń za Wiarę i Ojczyznę.

Jaki mamy teraz ideał?

Budować, wznosić i za każdą cenę utrzymać tę niepodległość.

Nie potrzebujemy na razie przelewać krwi na placu boju, ale musimy za to poświęcać Ojczyźnie naszą pracę i trud na placówkach gospodarczych, ekonomicznych. To nasze dzisiejsze hasło: Budować swój przemysł i handel, swój własny, rodzimy, polski, krajowy. Nie zbrakło nam nigdy siły i ochoty do walki o niepodległość polityczną, nie powinno nam zbraknąć jej do walki o niepodległość gospodarczą, o którą zbyt mało się troszczymy. Jeżeli zajrzyśmy do wszystkich największych instytucji przemysłowych i handlowych, zwłaszcza do tych ostatnich, spostrzeżemy, że większa ich część w obcych spoczywa rękach, przeważnie w żydowskich. Jeżeli przejdziemy jakiegokolwiek miasto, zauważymy, że prawie 10 proc. jest sklepów katolickich, a reszta należy do mniejszości narodowej. Żydzi zagarnęli prawie wyłącznie cały nasz handel. Firmy katolickie, nie mogąc znieść konkurencji, znikają i bankrutują.

Łódź, Kraków, Wilno, nawet stolica i w. in. mniejszych miast, jest zalanych przez obcy, nam wrogi żywioł. Nawet ta Częstochowa, — to serce katolickiej Polski, to sławne miejsce historyczne, twierdza, z której Królowa Polski, Matka Boża, śle swe łaski i dobrodziejstwa na cały kraj, ta droga nam Częstochowa coraz bardziej jest opanowywana przez inowierców. Tu już żydzi opanowali nie tylko handel różnymi towarami, ale rzeczami świętymi i dla nas tak cennymi, jak: medalikami, książkami do nabożeństwa i świętymi obrazkami. Jest to co prawda rzecz dotąd pokatna, ale przy odpowiednich warunkach może się rozwinąć i stać się chlebem powszednim.

Prus w „Lalce“ porusza zagadnienie, czy Polak, romantyk jest zdolny do pracy na polu handlowym? I rozstrzyga tę sprawę negatywnie. Bohater powieści interes kładzie na szalę miłości i sam dobrowolnie dąży do ruiny, a sklep jego w żydowskie przechodzi ręce. Ale wiek romantyzmu minął. Musimy śmiało rzeczywistość oceniać.

Kupiec katolicki bywa naogół mało grzeczny i usługowy dla swej klienteli. Klient chrześcijanin zaś

omija sklepy nasze dla czysto urojonych przyczyn rzekomej taniości zakupów, robionych w sklepach żydowskich. Nie bacząc, że, jeżeli nawet cena towaru bywa w nich niższą, to jest okupiona niezawodnie lichszym jego gatunkiem, gorszą miarą, czy wagą.

Gdyby sklepy chrześcijańskie miały taki obrót gotówki, jaki mają żydowskie, z pewnością towar sprzedawałyby taniej, a my nie byłibyśmy na każdym kroku sprytnie oszukiwani i wyzyskiwani. Ileż to biednych rodzin katolickich, bywa przedmiotem wyzysku żydów. Ile ich niespokojna natura wprowadza anarchizmu i zepsucia. Ile klęsk i ruin majątkowych powodują między ludźmi słabymi i niezaradnymi żydowskie machinacje. A my, pomimo to, popieramy ich handel, czyli gasimy ogień naftą. Zamiast niszczyć żrące płomienie, rozniecamy je coraz bardziej.

Czy w fabryce, hucie, lub kopalni widzimy przy warsztacie, kowadle, lub kilofie żyda? Nie. Ta praca jest jakby przeznaczaniem biednego ludu katolickiego, choć zyski z niej bardzo często ciągną właściciele tych przedsiębiorstw, właśnie żydzi. Wina oczywiście takich stosunków leży w nas samych. Zbyt mały procent młodzieży kierujemy do handlu. Znikoma ilość szkół zawodowych nie pozwala na ogarnięcie przemysłu we własne ręce. A jednak ten ciężki obowiązek leży na nas, nie możemy go zaniedbywać, bo od nas zależy przyszłość naszej Ojczyzny. Statystyka wykazuje, że Polska ma 31 proc. mniejszości narodowej, podczas gdy Francja ma 4 proc., Niemcy 3 proc., a Włochy 1 proc. Najlepszy przykład dawał nam Poznań. Miasto duże, zajmujące piąte miejsce w Polsce pod względem zaludnienia, a prawie pierwsze pod względem zewnętrznego wyglądu, a nie posiadało dotąd prawie wcale żydów.

Więc możliwa jest walka skuteczna. Nie pogromy. Nie wymysły.

Na tym placu boju potrzebna nam tylko wspólna, niezmordowana i wytężona praca i silna wola. Ten obowiązek spoczywa na katolickich, polskich rodzinach, od których przecież Ojczyzna wymaga zawsze pomocy, a społeczeństwo pokłada w nich nadzieje. Nie bądźmy ślepych na żywioły, toczące nam Ojczyznę, które podkopują nasz byt materialny, niszczą i prowadzą do ruiny. Szanujmy hasło: „Swoją do swego“, bo tą drogą uchronimy nasz handel, utrzymamy przemysł i nie damy naszych ekonomicznych placówek w ręce obcego i wrogo dziś dla nas usposobionego żywiołu.

W. Hillerówna.



## URZĄDZENIE POKOJU SYPIALNEGO.

### Modne łóżka, tapczany, ustawienie i nakrycie łóżek, firanki, urządzenie szaf.

Na pokój sypialny wybrać należy zawsze pokój, o ile można, jasny, słoneczny, nieprzechodni. Wogóle łóżko jest niemodne. Ma go zastąpić niziutki tapczan, prawie przy ziemi, na nim zwinięta w wałek kordra i ułożona u głowy, poduszki, złożone w pół i schowane w ozdobne powłóczki, lub zupełnie schowane, byle ich widać nie było. Te nowości przeszły do nas z Francji, gdzie w małych francuskich pokoiczkach łóżka zabierałyby dużo miejsca. Zastępują je tapczany, mające wysuwane szuflady. Na dzień umieszcza się w nich pościel, a tapczan, pięknie nakryty i zarzucony poduszkami ozdobnymi, służy do siedzenia.

Najwygodniejszym jednak zawsze meblem do spania było i jest łóżko niskie, z siatką i materacami, na nich ułożone poduszki, kordra i nakrycie. Niech każda dobra gospodyni zastanowi się, jak wyglądają i będzie pościel zwiniana, składana i chowana, a minie ją ochota zastępstwa łóżka — tapczanem. Łóżka nakrywa się albo zwykłą kapą, stosowną do ścian pokoju, albo kapą białą haftowaną na markizecie i z falbankami po bokach, lekko marszczonymi. U głowy na łóżku ozdobne poduszeczki, okrągłe lub owalne, białe lub kolorowe.

O ile toaleta nie stoi między łóżkami, umieszcza się ją w rogu. Po bokach u głowy łóżek szafeczki. Lampę wiszącą elektryczną lub inną zasłania abażur koloru stosownego do całości.

Zrobić go łatwo z kawałka jedwabiu kwadratowego, zwykle 50 × 50, z długą frendzlą. Wyciąć u góry otwór i jeden bok rozciąć (aby było łatwo zdjąć i wyprać). Kto maluje, ozdobić batikiem. Takim samym małym abażurkiem ozdobić nocną lampkę przy łóżku. Małe stoliczki okrągłe lub kwadratowe, z zieloną, wiszącą rośliną, umieszczone po rogach, kosz w oknie z kwiatami dodają sypialni uroku.

Szafy umieścić, o ile jest stosowna ściana, obok siebie. Parę miękkich fotelików z owalnym lub okrągłym stolikiem, przed toaletą niski fotelik, dopełnią całości. O ile mieszkanie nie posiada łazienki, trzeba jeszcze umieścić w sypialni umywalnię zakrytą parawanikiem. Pod nią i nad nią na ścianie dać dywaniki z ceraty lub maty. Szafa na ubranie powinna mieć wieszadła od pleców a ku przodowi drążek do zawieszania ubrań. Bielizniarka powinna mieć półki wyłożone cienkim, wzo-

zystym kretonem, pod którym umieszcza się ozdobne szlaki. U góry szafy tak jednej, jak i drugiej, powinna być na drucie zawieszona zasłona do rozsuwania z kretonu w kwiaty. Na półkach bielizna, powiązana wstążkami.

Przy prasowaniu uważać, aby składać bieliznę stosownie do miejsca wyznaczonego w szafie. Chusteczki, złożone w pudełku lub szaszetce na wewnętrznych drzwiach szafy, pluskiewkami przybić tasiemkę do zawieszania krawatów i pasek. Na nocną koszulę uszyć dużą kopertę 40×30 i do niej ją chować. Kopertę tę zrobić do prania, a więc można białą haftowaną, lub kretonową wzorzystą, zapinaną na guzik. Firanki do sypialni dziś najładniejsze z markizety białej, obustronne, ozdobione jedną lub dwoma falbankami. Falbanki te mogą być białe lub kolorowe, stosownie do całości, a więc różowe, niebieskie, lub żółte, zakończone wąską gipiorką w zęby. Jeśli na łóżkach leży haftowana kapa, dać odpowiedni haft na firance. Motywy z filet zawsze modne. Markizety kupić szerokiej na 150 cm. i rozciąć na pół wzdłuż — falbanki mogą być skrojone na 10 cm. i tylko lekko przymarszczone. Na górną firankę wziąć markizety 1 m. szerokości, a długości dwa razy więcej, niż okno. Obszyć ten kawałek jedną lub dwoma falbankami (jak mają boczne firanki) i rozmierzyć na 3 lub 4 części, na tych miejscach naszyć tasiemeczkę z góry na dół i naciągnąć wąziutką tasiemeczką do szerokości 50 cm., utworzą się w ten sposób 3 lub 4 zęby. Haft tutaj zbyteczny. Można też używaną, haftowaną firankę górną zrobić modniejszą, wycinając zęb duży w środku, a dwa półzęby po bokach i obszyć koronką. Kto ma pokój bardzo jasny, może dać oprócz bocznych, wąskich firanek, storę haftowaną, sięgającą do brzegu okna. Boczne firanki już bez haftu tylko z falbanką. Stora bogato haftowana, z motywem pośrodku, zrobiona do zsuwania u góry. Jest to najmodniejsze zakrycie okna. Serwetki na szafeczkach, toalecie i stoliku mogą być haftowane i obrobione szydełkowymi zębami, w odpowiednim kolorze. Malowanie ścian w sypialni najstosowniejsze spokojne w jednym tonie, z fryzem u góry. O klęczniku mało kto dziś pamięta. Pamięta za to o wizerunku Matki Bożej i Chrystusa każda kobieta, która, zamykając drzwi sypialni, „wszystkie nasze dzienne sprawy“ poleca Bogu, prosząc Go, aby jutro nie było gorsze od dnia minionego.

Antonina Piętkowa.

**Miejska opieka społeczna nad matką i niemowlęciem.** „Dobre brać zewsząd“. W myśl tej zasady nie powinno się zamykać oczu na to, co czynią ludzie odmiennych lub nawet wrogich nam przekonań. Trzeba śledzić ich dzieła, by samym nie zastygnąć w bezruchu, doprowadzającym właśnie do tego, że na wielu polach pozwalamy się wyprzedzać obcym.

Opieka społeczna w Polsce jest w stadium reorganizacji, pozwalającym rokować, że medługo zostanie już bardzo planowo i metodycznie ujęta. Warto jednak przytoczyć, czego w zakresie opieki nad matką i

dzieckiem dokonał socjalistyczny Wiedeń lub przez ludzi obojętnych religijnie i ateuszów rządzony francuski Lyon.

Zacznijmy od Wiednia. Ma on 24 poradnie dla matek, otaczające bezpłatnie kobietę ciężarną staranną opieką lekarską, informujące szczegółowo o trybie życia, zabiegach higienicznych, leczeniu chorób, które mogą się dziecku udzielić (gruźlica, alkoholizm i inne) i t. p. Kobiety bezrobotne, ubogie otrzymują pożywienie. Na czas połogu są umieszczane w zakładach lub dostają opiekę fachową do domu. Poza-tem otrzymują wyprawkę dla

dziecka: koszykowe małeńkie łóżeczko, 24 pieluszki, 2 flanele, 1 koc flanelowy, ręcznik kąpielowy, 2 podściółki gumowe, 6 koszulek i 6 kaftaników, 1 sukienka, 2 opaski brzuszne i pewną ilość mydła, pudru i kremu dla niemowlęcia. Poradnie magistrackie otaczają opieką prawną rodziny opuszczone przez ojca, przeprowadzają starania i procesy o alimenty, a w razie potrzeby udzielają pożyczek na poczet tych alimentów. W r. 1925 poradnie Wiedeńskie wydobyły należne sumy od ojców 4.200 dzieci, a miały pod swą opieką 16.000 dzieci nieślubnych.



Wiedeń ma pozatem 200 (dwieście!) żłobków, dziecińców i przedszkoli. Matki, pracujące poza domem, pozostawiają swe maleństwa w tych zakładach, spokojne o ich bezpieczeństwo i umiejętne wychowanie.

**Opieka miejska nad dziećmi szkół powszechnych i średnich.** Zasadniczym postulatem opieki społecznej w zakresie opieki nad ubogimi dziećmi w szkołach jest: 1) dożywianie dzieci, 2) dostarczanie im podręczników i pomocy naukowych, 3) organizowanie „ognisk dziecięcych”, gdzie w godzinach pozaszkolnych dzieci, mające w domu złe warunki (ciasnota, gwar, hałas, brak opieki, niehygieniczne, wilgotne lub ciemne mieszkanie) mogą odrobić spokojnie lekcje i spędzić czas na pożytecznym zajęciu, rozrywce (kino) lub zabawie. W Warszawie, ognisk takich powstaje coraz więcej (Wiedeń samych miejskich ognisk ma 24). Opiekę nad dziećmi wykonywują w nich siły fachowe. Pozatem postulatem 4-ym jest zapewnienie każdemu dziecku pobytu przez lato na wsi, w górach lub nad morzem. U nas T-wo kolonij letnich i magistrat Warszawy oraz opieki przyszkolne rodzicielskie prowadzą akcję w tym kierunku. Jednak najwyżej kilka tysięcy biednych dzieci wyjeżdża. Konieczne są więc prócz tego półkolonje (organizuje je T-wo kol. letn. i magistrat Warszawy), wycieczki, kąpieliska na otwartym powietrzu, a więc łączące się ze słonecznymi kąpielami, miejskie place zabaw (ma je Poznań, osobne dla starszych, osobne dla małych dzieci).

Trzeba zaznaczyć, że poczynania w tym kierunku w stolicy przybierają na sile z każdym rokiem.

N. N.

**Miljon złotych rocznie dochodu.** Jak dalece możemy zwiększyć dochody kraju, tego dowodzi następujące wyliczenie, odnoszące się do jednej tylko gałęzi hodowli, należącej do działu gospodarstwa kobiecego.

Danja ma 21.000.000 kur, Polska 35.000.000. Wobec ilości mieszkańców stanowi to: w Danji na 1 mieszkańca — 5 kur, w Polsce — 1. Nieśność przeciętna kur w Danji

wynosi rocznie 200 jaj, w Polsce — 80. Eksport jaj z Polski wynosi obecnie 5.800 wagonów rocznie, wartości 74.500.000 zł. Z tego wynika, że chcąc dorównać Danji, powinniśmy hodować nie 35.000.000, lecz 175.000.000 kur. Wtedy przy obecnej nieśności 80 jaj eksport wynosiłby 29.000 wagonów jaj wartości 372.000.000 zł. Gdyby zaś nieśność kur doprowadzić do 200 jaj rocznie, wtedy przy 175.000.000 kur mogliśmy wywozić 72.500 wagonów wartości 928.000.000 zł. rocznie.

Oto przykład — jakże wymowny dla naszych gospodyń.

**Wystawa odżywiania w Berlinie.** Dnia 28 kwietnia r. b. otworzono w Berlinie wystawę, mającą na celu zaznajomienie najszerszych warstw społeczeństwa z taniem, choć racjonalnym odżywianiem. Wystawa trwać będzie do 5-go sierpnia. Obejmuje następujące działy: zasady odżywiania, odżywianie ludzi zależnie od ich pracy, artykuły spożywcze łącznie z ich produkcją, wykształcenie w dziedzinie odżywiania.

Oto, jak Niemcy traktują sprawę gospodarstwa domowego.

**Nowoczesne domy.** Cieszymy się, patrząc na zabudowujące się dzelnice Warszawy, choć tempo ich zabudowy jest krokiem żółwia w porównaniu z potrzebami. Jakże więc ważnym byłoby, gdyby u nas tempo to przyjęło takie rozmiary, jak w Berlinie. Czytamy mianowicie, że w roku zeszłym jedno tylko z przedsiębiorstw budowlanych oddało do użytku 1.000 nowych mieszkań około parku Schillerowskiego. Mieszkania te wszystkie są zaopatrzone w gaz, elektryczność, centralne ogrzewanie oraz gorącą wodę bieżącą, na którą każde mieszkanie posiada specjalny licznik. We wszystkich domach są też maszyny elektryczne do prania i suszenia bieli zny.

**Miejskie Pogotowie Opiekuńcze dla dzieci w Wiedniu.** Każde dziecko, które nie ma w domu dostatecznej opieki (sieroty, półsieroty, dzieci porzucone przez rodziców, dzieci rodziców chorych fizycznie lub moralnie i t. p.) znajduje w Wiedniu opiekę w Pogotowiu Opiekuńczym. Gmach Pogotowia jest zbudowa-

ny według wszelkich najnowszych wymagań nauki z zakresu higieny i opieki fizycznej i moralnej. Nad wejściem wisi tablica z napisem: „Dom ten poświęca dzieciom miasto Wiedeń. Każde dziecko ma prawo do opieki ze strony społeczeństwa“.

Dzieci są bądź przysyłane przez opiekunki społeczne, bądź przez znajomych, bądź są przyprowadzane przez policję lub przychodzą same. Przedewszystkiem kierują je do zbadania lekarskiego. Chore są odsyłane do szpitali lub sanatorjów; zdrowe przebywają parę tygodni pod obserwacją lekarzy i wychowawców Pogotowia Opiekuńczego, potem są odsyłane do wzorowych zakładów miejskich dla sierot, gdzie są wychowywane o lat 18. Prócz nauki ogólnej otrzymują przygotowanie fachowe w takiej dziedzinie, do jakiej okazują zamiłowanie i zdolności. W tym celu są poddawane też badaniom psychotechnicznym.

#### AFORYZMY.

Grzecznością i łagodnością można przejść i — wrócić. Inaczej nie.

#

Człowiek wyrozumiałości potrzebuje zawsze, — a jednak zraża sobie — po drodze — ludzi i gmatwa się we własnej nędzy.

#

Najstraszniejszą, najgłębszą przepaścią jest — płytkość duchowa.

#### ODPOWIEDZI OD REDAKCJI DZIAŁU KOBIECEGO.

**P. Z. Miłk. w Wieluniu.** Dziękujemy Sz. Pani za gotowość odpowiedzi na nasze wezwanie do Czytelniczek i prośbę do nich zwróconą o nadsyłanie listów, co niezawodnie wpłynie na pożytek naszej dla nich pracy. Radzimy nabyć poradnik dla matek dzieci do lat 7. Omawiane w nim są zarówno higieniczne i fizyczne wychowanie dzieci, jak kształcenie młodziutkiego umysłu i serca. Poradnik jest wydany przez Towarzystwo „Bluszcz”. Dostarczyć go każda księgarnia na żądanie Sz. Pani o wysłanie poradnika p. t.: „Matka i Dziecko“.

**P. Annie Wiesz. w Przemyślu.** Moda dzisiejsza jest bardzo ładna, praktyczna i łatwa do wykonania sukienka. Ślicznie ubiera kobietę, o ile nie robi z niej samowolnie karykatury. Bo każda moda kieruje osobisty smak i poczucie estetyczne. Markizety są zawsze modne i nawet do częstego użytku wybornie się nadają, bo się nie mna, zachowując pożądaną w każdym ubraniu świeżość.

**P. Marji Korzył.** Dziękujemy za list. W przyszłym numerze zastosujemy się do życzenia łaskawej Pani.